SKAMANDER

MIESIĘCZNIK LITERACKI

GRUDZIEŃ 1936

TREŚĆ ZESZYTU

SIEDEMDZIESIĄTEGO SIÓDMEGO

Słupem płonącym — ANTONI KASPROWICZ. 515
Lato w Nohant. Komedja w trzech aktach. Akt pierwszy — JAROSŁAW IWASZKIEWICZ. . . . . 516—534
Ballada o pożądaniu — EUGENJUSZ ZIELIŃSKI. 535
Elegja — STEFAN NAPIERSKI. . . . . 536—537
Zwycięski śpiew — JÓZEF ŁOBODOWSKI. . . . . 538—539
Szekspir — MARJAN PIECHAL. . . . . 540—541
Sofokles dolin. Kłamstwo wieczoru — WOJCIECH BĄK. . . . . 542—543
Dwugłos. Elegja monumentalna — J. K. WEINTRAUB. . . . . 544—545
Antagonista Wyspiańskiego — ZYGMUNT ŁOTOCKI. . . . . 546—554
Robot — SIERGIEJ KIRSANOW, przełożył ST. R. STANDE. . . 555—575

Okładka EUGENJI RÓŻAŃSKIEJ

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI

Wydawcy: ANTONI BORMAN i MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI

Redakcja: Warszawa, Złota 8 m. 5, tel. 242-82, poniedziałki, środy i piątki od 16—18

Administracja: Królewska 13, tel. 223-04, codziennie 9—19

Konto czekowe 8.515

Prenumerata z przesyłką zł. 7.50 kwartalnie, dla prenumeratorów „Wiadomości Literackich" zł. 4.50, zeszyt pojedyńczy zł. 2.50, dla prenumeratorów „Wiadomości" zł. 1.50

Redakcja nie zwraca drobnych rękopisów. — Utwór, o którego druku autora redakcja nie zawiadomiła w ciągu miesiąca od chwili nadesłania, jest odrzucony. Redakcja nie podejmuje się oceny rękopisów.

SKAMANDER

MIESIĘCZNIK POETYCKI

ROK DZIESIĄTY GRUDZIEŃ 1936
TOM DZIESIĄTY ZESZYT LXXVII

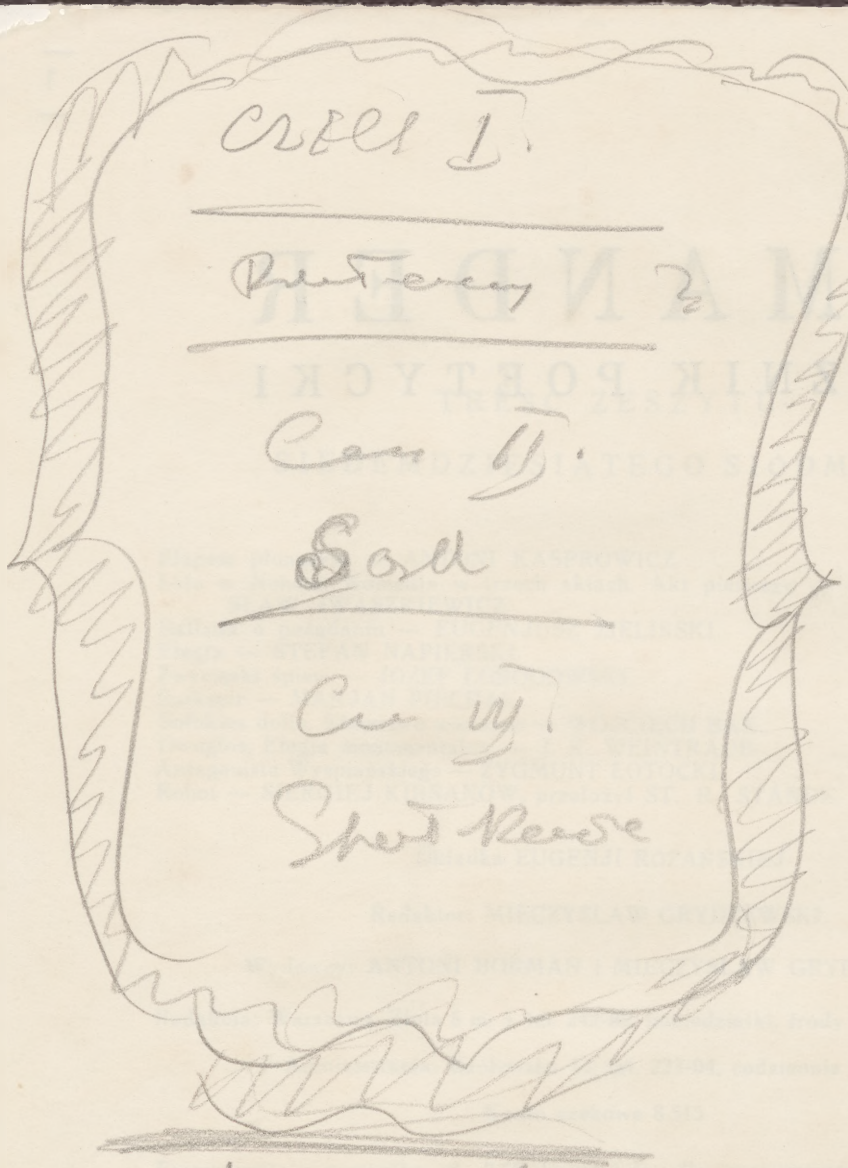

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15

SŁUPEM PŁONĄCYM

Słupem płonącym szła nocą, a jękiem głuchym i grozą
Dęły jej wichry grające od lądów dalekich i mórz.
Lecz ona miłość tym lądom i pokłon niosła morzom,
Lądom trzeszczącym w posadach i morzom spiętrzonym od burz.

Słupem płonącym szła nocą, blaskiem swym zimne gwiazd srebra
I martwe odblaski księżyczne gasząc w radosnym tryumfie,
W pochodzie wspaniałym, ognistym, co żagwią gorącej krwi wezbrał
I trzaskał buntu iskrami i dymił gniewu chorągwią.

Słupem ognistym szła nocą, a dniem żagwiła się zorzą,
Zorzą promienną, przeczystą i dzwonkiem skowrończym szła z łąk.
I pieśnią rzewliwą niebieską, i lipą szumiącą, i brzozą,
I warg poszeptem żałosnym, i cichym szelestem rąk.

Słupem płonącym szła nocą, a dniem żagwiła się zorzą,
Zorzą promienną, przeczystą, i wieść, radosną wieść,
I miłość ogromną lądom i pokłon niosła morzom —
Moja najcichsza, najprostsza, moja zwycięska pieśń!

Antoni Kasprowicz

LATO W NOHANT
komedja w 3 aktach

Pani Marji Przybyłko-Potockiej

OSOBY

FRYDERYK CHOPIN
BARONOWA AURORA DUDEVANT (GEORGE SAND)
SOLANGE } jej dzieci
MAURYCY }
ANTONI WODZIŃSKI, przyjaciel Chopina
PANNA DE ROSIERES (ROZJERKA), uczenica Chopina
AUGUSTYNA, kuzynka i wychowanica pani Sand
TEODOR ROUSSEAU, młody malarz
CLESINGER, młody rzeźbiarz
FERNAND, syn bogatego sąsiada
JAN, służący Chopina
MADELEINE, wiejska dziewczyna

Rzecz dzieje się w posiadłości pani Sand, Nohant, latem r. 184..

AKT PIERWSZY

Letnie południe. Salon pani Sand w Nohant. Epoka kiedy Chopin komponuje sonatę h-moll. Atmosfera jest przepełniona muzyką. Z przyległego pokoju, gdzie mieszka kompozytor, dolatują ustawicznie poszczególne takty tej sonaty, przegrywane i opracowywane. Wszystko — oprócz środkowej części larga. Salon jest skromnie umeblowany, meble Louis XVI. Na środku wielki stół, produkt miejscowego stolarza, służący do gier, zabaw i pracy. Na boku biureczko-szafa, gdzie pani Sand pisuje. Pod jedną ścianą puste miejsce po fortepianie, wyniesionym do pokoju Chopina. Za sceną gwar i ruch jak zwykle latem w domu, gdzie bawi dużo młodzieży. Drzwi w głębi (porte-fenêtre) otwierają się na ogród gdzie widać wysokie drzewa, lipy, kasztany — i kwitnące róże. Pełno tam światła i powietrza. Osoby wchodzą na scenę bądź z ogrodu bądź z głębi domu.

Muzyka trwa prawie przez cały akt.

JAN *pokazuje Madeleine, która po raz pierwszy przyszła do służby, jak należy okurzać przedmioty zgromadzone w salonie: Madeleine nie jest bardzo pojętna, Jan się irytuje* Pa komsa, pa komsa, tylko komsa, komsa! *z przyległego pokoju Chopina rozlegają się dźwięki fortepianu, Jan kiwa głową i pokazuje na czoło, Madeleine śmieje się głośno* Psst... a to co? Jaka śmiała dziewczyna... nie śmiać się... pssst...

GEORGE SAND *wchodzi od ogrodu w stroju do konnej jazdy, zmęczona ale ożywiona* Dzień dobry! *gładzi Madeleine pod brodę* Przysłała cię więc stara Urszula? To bardzo dobrze. Ślicznie wyglądasz, moja mała. Cała wasza rodzina już jest taka ładna. Najładniejsza w całem Nohant, może w całem Berry. Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze. Ucz się i słuchaj... *do Jana* Gdzie jest panna Solange?

JAN Poszła na spacer w pole.

GEORGE SAND Pan Maurycy?

JAN W ogrodzie z panną Augustyną.

GEORGE SAND Aha... A panowie młodzi?

JAN Pan Rousseau poszedł do parku ze stalugami... pan Clésinger nagórze... pan Fernand jeszcze nie przyjeżdżał...

GEORGE SAND Nie pytam o pana Fernanda... A pan Wodziński?

JAN Pan hrabia wstał przed chwilą. Zdaje się że kazał siodłać konia...

GEORGE SAND Znowu gdzieś leci... No, dobrze, to może sobie już Jan iść *za odchodzącym* Janie, a buljon dla pana Chopina...

JAN Zaraz przyniosę, pani baronowo...

GEORGE SAND Janie, fidybus *Jan zapala fidybus przy kominku, potem cygaro pani Sand; Jan i Madeleine wychodzą; George Sand zasiada w fotelu, zamyśla się, zapada w rodzaj drzemki*

WODZIŃSKI *wychodzi z pokoju Chopina, chowając do kieszeni portfel* O! Pani tak wcześnie?

GEORGE SAND *wskazując strój swój i Wodzińskiego* Les beaux esprits se rencontrent. Dokądże to? Do Châteauroux?

WODZIŃSKI Do Châteauroux byłoby za daleko w tym stroju. Staję się za ciężki do konnej jazdy.

GEORGE SAND W tym wieku, mój Boże! A więc do księdza proboszcza na lomberka? Będzie jeszcze dwóch grubasów z okolicy... I tak od samego rana! dziwię się tym pańskim przyjemnościom. Spędzać całe godziny z ludźmi tak mało oświeconymi...

WODZIŃSKI Ależ pani baronowo...

GEORGE SAND Nie mam nic przeciwko temu. Każdy znajduje przyjemność gdzie może, i tak jest najlepiej. Dzień zresztą jest prześliczny, i mała przejażdżka konno dobrze panu zrobi... Zaczął pan tyć...

WODZIŃSKI Pani jeździła daleko?

GEORGE SAND Tak... Musiałam trochę wypocząć po pracy... Pisa-

łam dziś do szóstej, potem trzy godziny konnej jazdy, kąpiel w Indrze. Woda była zimna jak lód. Widzi pan, tak się spędza ranek na wsi, jeżeli się chce naprawdę ujrzeć przyrodę przy pracy. No, a teraz muszę się przebrać i brać się do korekty, bo Buloz mi żyć nie daje z tym swoim przeglądem.

WODZIŃSKI Podziwiam pani pracowitość.

GEORGE SAND To cecha prawdziwie francuska. Nie odziedziczyłam jej po królu polskim, moim przodku...

WODZIŃSKI Który był zresztą Niemcem czystej krwi.

GEORGE SAND Praca odrywa mnie od rzeczywistości.

WODZIŃSKI Sądzę, że rzeczywistość pani nie jest taka przykra. Żyje pani sobie w wolnym kraju, na wolnej ziemi, otacza panią sława, szacunek, miłość...

GEORGE SAND Wydaje się, że prawdziwa wolność osiągalna jest jedynie w jakiejś idealnej republice, którą nieprędko ujrzymy na ziemi... To przedewszystkiem. A po drugie, nie uwierzy pan jakie rozczarowanie przynoszą te rzeczy *z westchnieniem* Sława, szacunek, miłość!

WODZIŃSKI A chociażby ta cudowna posiadłość, ten stary dom, ten park, ta wieś, gdzie każdy zna swoją „dobrą panią z Nohant"...

GEORGE SAND To prawda, to prawda *zamyśla się* Nohant jest mi zawsze wierne. Broniłam tej posiadłości dwa razy jak lwica. I wiedziałam dlaczego to robię. Raz pierwszy po śmierci mojej babki, która tutaj prawie całe życie spędziła...

WODZIŃSKI To ta, co była córką Maurycego Saskiego?

GEORGE SAND Tak, to była wielka dama... Po raz drugi przed moim mężem. Nohant było przyczyną naszego rozwodu.

WODZIŃSKI Czy być może?

GEORGE SAND Długo cierpiałam jego grubjaństwa! Ale kiedy mi zaczął wycinać drzewa wokoło domu, powiedziałam: basta! To było gorsze od wszystkich długów których narobił. Fora ze dwora, z mojego dwora! Umówiliśmy się co do renty, i pan baron opuścił łaskawie to miejsce. Aby zamieszkać coprawda nie bardzo daleko... Chwała Bogu, że jeszcze cośniecoś ocalało z tego parku...

WODZIŃSKI Cośniecoś? Przecież to jest prześliczne! Te cudne drzewa, te róże, ten trawnik...

GEORGE SAND *z ożywieniem* Prawda? Prawda? A okolice! Przecież te wąwozy, te rozpadliny, te równiny pól... Czy to panu nie przypomina polskich stepów?

WODZIŃSKI Polskich stepów? Owszem, owszem... tylko że ja jestem z Poznańskiego. Mamy wyższą kulturę rolną...

GEORGE SAND Naprawdę? Godzinami można jechać po tych polach. To bardzo piękne.

WODZIŃSKI Uważam tylko, że za mało wyzyskane pod względem

gospodarczym. Na miejscu pani założyłbym szparagarnię i hodowlę wczesnych jarzyn. Koniecznie... Pozatem...

GEORGE SAND *urażona* A pana gospodarstwo?

WODZIŃSKI Ja? Moje? O, ja wszystko wydzierżawiam... mam mniej kłopotów, jestem wolniejszy...

GEORGE SAND Szkoda, że pan u siebie nie założył szparagarni. Moja datuje się z końca zeszłego stulecia... Ale pan jej nie zauważył! *innym tonem* Ach, z tym Janem, to prawdziwe nieszczęście, cóż to za okropna kreatura... *dzwoni i woła przez drzwi* Janie, Janie, buljon dla pana Chopina! Mówiłam już przecie...

JAN *za sceną* Zuzanna jeszcze nie ugotowała...

GEORGE SAND *do Wodzińskiego* Wszystkiego człowiek musi sam dopilnować.

WODZIŃSKI Do wszystkich pani kłopotów jeszcze ten...

GEORGE SAND Chopin to moje trzecie dziecko. Pan nie wie?

WODZIŃSKI Wszyscy to wiedzą... Nawet rodzina Chopina jest pełna wdzięczności dla pani.

GEORGE SAND *z goryczą* Tak, rodzina może... Ale ja rzeczywiście mam już ten instynkt macierzyński dla moich przyjaciół, niekoniecznie przez nich oceniany. No, ale trzeba się przebrać. Dowidzenia, i niech pan nie zapomina o obiedzie. Zuzanna przygotowuje jakiś wspaniały suflet z sera!... *wychodzi*

WODZIŃSKI *ze współczuciem* Biedna Zuzanna... *chce wyjść, w drzwiach natyka się na Rousseau, który wraca z parku z obrazem rozpiętym na blejtramie* Panowie artyści już od rana przy pracy...

ROUSSEAU Od rana? Ależ teraz jest dobrze popołudniu! Mam teraz najlepsze światło nad sadzawką.

WODZIŃSKI Pan maluje z natury?

ROUSSEAU Czyż może być lepszy mistrz na świecie?

WODZIŃSKI Tak, teraz taka moda... Czy pan nie grywa w karty?

ROUSSEAU Nie, proszę pana.

WODZIŃSKI Powiedział to pan z lekką pogardą... Niech pan poczeka gdy będzie pan w moim wieku... To szkoda, potrzebny nam jest ktoś czwarty do wista, a jak się nie znajdzie czwarty, znowu rozpocznie się ten hazard...

ROUSSEAU Najlepiej więc wcale nie grać.

WODZIŃSKI To tak jak gdybym ja poradził, żeby się pan nie kochał w pannie Augustynie.

ROUSSEAU Co za porównanie. Ona i karty...

WODZIŃSKI Och, oczywiście, przepraszam pana. Niema żadnego porównania. Choć może jest coś wspólnego... I w miłość i w karty można przegrać... *wychodzi ze śmiechem; Rousseau ustawia obraz na kominku i przypatruje się mu; wchodzi Clésinger*

CLESINGER Nieznośna jest ta bezustanna muzyka, zupełnie nie moż-

na pracować. Tobie dobrze siedzieć sobie na plein-airze. A ja mojej gliny na podwórze nie wyniosę.
ROUSSEAU Jak ci idzie z portretem Solange?
CLESINGER Dosyć dobrze... W każdym razie nie tak dobrze jak z portretem jej matki.
ROUSSEAU Spodziewam się *śmieje się*
CLESINGER Co za niemądre śmiechy? *chce go zboksować*
ROUSSEAU Idź, idź sobie... z twojemi sierżanckiemi manierami.
CLESINGER Nie mogą mi tego sierżanta zapomnieć. Z tego że jestem rzeźbiarzem nikt nie żartuje.
ROUSSEAU Widocznie jesteś dobrym rzeźbiarzem.
CLESINGER Chciałbym być... Ale to bardzo trudno...
ROUSSEAU A malarstwo? To pewnie jest łatwe?
CLESINGER Nie będę się spierał... Ale pomyśl, jaka różnica w samym koszcie materjału...
ROUSSEAU No oczywiście. Ale to nie jest najważniejsze.
CLESINGER Żeby kupić kawałek marmuru, ile to trzeba pożyczyć pieniędzy. Już i tak mam same długi.
ROUSSEAU Ożeń się.
CLESINGER Poto tu przyjechałem.
ROUSSEAU *z naiwnym śmiechem* Nie gadaj. Pani Sand cię nie zechce...
CLESINGER Głupi jesteś jak but. Mam dość tej starej. Zimna, psiakrew, jak lód. Myślę o Solange...
ROUSSEAU Solange? Ty? Przecież ona jak gdyby zaręczona z Fernandem?
CLESINGER Zaręczona nie zaręczona. Ja mam swój sposób.
ROUSSEAU Świnia.
CLESINGER A myślisz że będę łaził i patrzył na nią jak lis na ser albo jak ty na Augustynę?
ROUSSEAU I ty chcesz aby wszyscy zapomnieli o twojej sierżanckiej szarży? Przecież ty na każdym kroku to przypominasz.
CLESINGER Sierżant nie sierżant, a Solange będę miał.
ROUSSEAU Życzę powodzenia...
CLLESINGER Właśnie... A gdzie ona jest teraz?
ROUSSEAU Poszła na spacer... w stronę majątków Fernanda.
CLESINGER Djabli nadali to sąsiedztwo.
ROUSSEAU Prawda? A pamiętaj że u kobiet to zawsze jest kwestja najbliższego sąsiada...
CLESINGER Ładne perspektywy... Dokąd idziesz?
ROUSSEAU Zostawiłem stalugi nad stawem. Chodź, pomożesz mi zabrać farby.
CLLESINGER Stalugi czy Augustynę?
ROUSSEAU Niestety, Augustyny jeszcze nie widziałem... Zupełnie nie wiem co myśleć w tej całej sprawie. Wszyscy, zdaje się, są po

mojej stronie... prócz niej samej. Maurycy uważa mnie już za jej narzeczonego.

CLESINGER Mówił ci co?

ROUSSEAU Nie, ale miałem takie wrażenie...A ona taka jest dziwna?

CLESINGER Morał za morał: jeśli tylko masz jakie wątpliwości, to lepiej odrazu dać spokój.

ROUSSEAU Dać spokój, dać spokój... Jak gdyby to tak odrazu można było przestać kochać. Dobrze ci gadać z twoją naturą. Ale ja jestem inny.

CLESINGER Jesteś delikatną babą... No, chodź po stalugi. Zapakuj je i jedź do domu zaraz. Taka moja rada.

ROUSSEAU Nie skończyłem jeszcze tego obrazu.

CLESINGER *przypatruje się* Bardzo piękny widoczek... Skończysz go w Paryżu. Westchnienia tęsknoty mają bardzo dobry wpływ na pejzaże.

ROUSSEAU Flozof z ciebie... no, chodź... *wychodzą*

Madeleine wnosi tacę z filiżanką buljonu dla Chopina, Jan towarzyszy jej, przed drzwiami Chopina odbiera tackę i puka, wchodzi następnie do pokoju muzyka i zaraz wychodzi nie zostawiwszy tacki.

JAN *dając Madeleine tackę* Mosie Szopę — Madeleine tużur aporte — tużur Madeleine... szak żur... *wzrusza ramionami, wychodzi do kuchni; Madeleine wchodzi do pokoju Chopina, dopiero teraz muzyka milknie; po chwili Madeleine wraca bez tacki, zostawia drzwi od pokoju Chopina otwarte, wraca do kuchni*

Muzyka rozpoczyna się nanowo, tym razem wyraźniej, gdyż drzwi są otwarte. Drzwi od parku także zostawiono otwarte, gra świateł wśród zieleni.

Maurycy i Augustyna wchodzą przez drzwi od ogrodu.

MAURYCY Znowu ta muzyka... Nie mogę już słuchać... *zamyka dość bezceremonjalnie drzwi od pokoju Chopina* Jeżeli tak dłużej potrwa, moje nerwy nie wytrzymają.

AUGUSTYNA *nie zwraca najmniejszej uwagi na to co Maurycy mówi czy robi, bez przerwy jest jednak wpatrzona w niego, zajęta swoją myślą* Maurycy... Nic mi nie odpowiadasz na moje zapytanie?

MAURYCY A o co pytałaś?

AUGUSTYNA Jakto? Nie słyszałeś? Nie uważasz już nawet na to co ja mówię?

MAURYCY Proszę cię, tylko bez scen...

AUGUSTYNA Bez scen... I owszem, mogę bez scen.

MAURYCY Czy zauważyłaś tę nową służącą? Prawda jaka ładna?

AUGUSTYNA *bierze Maurycego za ręce* Posłuchaj mnie. Nie odwracaj rozmowy na inny temat. Powiedz mi odrazu i wyraźnie: co ze mną będzie?

MAURYCY Musisz się poradzić mojej matki. Ja nic nie wiem.

AUGUSTYNA Maurycy!
MAURYCY Ależ tak, moja kochana, nie trzeba robić dramatu. Skoro Rousseau tak bardzo ciebie kocha.
AUGUSTYNA Co mnie obchodzi ten cały Rousseau. To ty go tutaj sprowadziłeś.
MAURYCY Co za pomysły? Skąd ja mogłem znać tego malarzynę? To wszystko pomysły mojej matki. Razem ich gdzieś wykopała: jego i Clésingera. Chcesz wyjść za niego zamąż, to dobrze. Nie chcesz, drugie dobrze.
AUGUSTYNA Maurycy, ale co będzie z nami?
MAURYCY Co będzie z nami, co będzie z nami. To nie brzmi dobrze po francusku. A ty co sobie wyobrażałaś? Nic nigdy nie trwa wiecznie.
AUGUSTYNA Solange zawsze powiada, że jesteś niedobrym człowiekiem.
MAURYCY A ona niby jest ta dobra. Co to są zresztą za określenia. Nie jestem romantykiem jak moja mamusia. Zresztą ona także tylko w książkach była romantyczna. Ja nie jestem bohaterem „Lelji". Dobry... dobry... nikt nigdy nie jest dobry...
AUGUSTYNA *bardzo cichutko, prawie na stronie* Obiecałeś mi, że się ze mną ożenisz.
MAURYCY Obiecałem. Oczywiście. Jeżeli chcesz koniecznie, to się z tobą ożenię. Ale poprostu nie radzę ci, abyś wychodziła za mnie zamąż. Co to będzie za małżeństwo? Nie masz przecie ani grosza, ja niewiele więcej.
AUGUSTYNA Tak, masz rację, widzę, że nie byłoby to dobrze. Myślałam, że mnie jednak kochasz.
MAURYCY *z nagłym zapałem* Augustynko! Jakto? Wątpisz o mojej miłości? Czyż nie dałem ci tysiącznych dowodów?
AUGUSTYNA *rozjaśniając się nagle* Maurycy... Przecież się nie chcesz ze mną ożenić?
MAURYCY Jakto nie chcę? Jakto nie chcę? Nie mogę, chcesz powiedzieć. Taka jesteś niemądra. Nie wiesz sama co znaczy małżeństwo. Małżeństwo, moja droga, to nie są żarty.
AUGUSTYNA Dla ludzi, którzy prawdziwie się kochają...
MAURYCY Kochana Augustynko, miłość sama nie wystarczy. Zresztą sama wiesz. Mama za nicby się nie zgodziła na nasze małżeństwo.
AUGUSTYNA *z dreszczem lekkiej trwogi* Mama! A jednak był czas, kiedy myślałam, że życzy sobie tego.
MAURYCY Łudziłaś się zapewne. Zresztą mama była zawsze tak dobra dla ciebie.
AUGUSTYNA Taaak. Przez pewien czas. Ale teraz bardzo się zmieniła.
MAURYCY Tak ci się tylko wydaje. I jeżeli chodzi o pana Rousseau, powinnaś się jej zwierzyć. Ona ci najlepiej i najżyczliwiej poradzi.

AUGUSTYNA *we łzach* Maurycy, Maurycy, taka jestem nieszczęśliwa. Ty mnie porzucasz.
MAURYCY *obejmuje ją* Ale cóż znowu, moja najmilsza, chciałbym tylko twojego szczęścia.
AUGUSTYNA *zarzuca mu ręce na ramiona* Ach, mój miły, mój bardzo miły.
MAURYCY Nie rozpaczaj, nie płacz. Wyjdziesz zamąż za pana Rousseau *całują się*
ROUSSEAU *wchodzi od ogrodu ze złożonymi stalugami w ręku i słyszy ostatnie słowa* Przepraszam, czy nie przeszkadzam?
MAURYCY Ależ nie.
ROUSSEAU Panno Augustyno, pani mnie zwodziła.
AUGUSTYNA Przepraszam pana. Zresztą nie mówiłam panu nigdy nic pewnego.
ROUSSEAU A pani kuzynek niecnie postępuje sobie z panią. Przestrzegam panią przed nim jako szczerze kochający człowiek.
MAURYCY Wypraszam sobie podobne odezwanie się.
ROUSSEAU Uwiódł pan tę dziewczynę i teraz pan chce ją wydać zamąż *pani Sand wchodzi niepostrzeżenie*
MAURYCY Panie Rousseau, pan się zapomina.
ROUSSEAU *kończy* Do spółki ze swoją mamusią.
MAURYCY Nie potrzebuje pan tego powtarzać dwa razy *policzkuje go.*
AUGUSTYNA Na Boga, Maurycy, co ty robisz?
GEORGE SAND Maurycy, to nasz gość! *policzkuje Maurycego.*
ROUSSEAU A to ładna rodzinka *z całym spokojem zdejmuje obraz z kominka i wychodzi*
GEORGE SAND Maurycy, w tej chwili idź do pana Rousseau i przeproś go za to coś uczynił. Ująłeś się wprawdzie o mój honor, ale naprawdę to była przesada. No idź... *Maurycy całuje matkę w rękę i wychodzi*
AUGUSTYNA Biedny Rousseau.
GEORGE SAND Zdawało się że trzech nie zliczy, a takich rzeczy nagadał.
AUGUSTYNA Uniósł się. Maurycy niepotrzebnie tak rycersko stanął w obronie mojej czci. Tego małego malarza nie należy traktować aż tak poważnie.
GEORGE SAND Wolałabym jednak abyś go traktowała bardziej poważnie. Dlaczego nie chciałaś wysłuchać jego prośby?
AUGUSTYNA Nie kocham go.
GEORGE SAND Doskonale, moje dziecko. Przez sześć lat byłaś moją wychowanką, mojem trzeciem dzieckiem. Znam dobrze twój charakter. A jednak mam wrażenie, że drugiego takiego konkurenta do swojej ręki tak prędko nie znajdziesz.
AUGUSTYNA Nie śpieszy mi się z zamążpójściem.

GEORGE SAND To także rozumiem. Znam twoją niezależność i zawsze starałam się ją jeszcze rozwinąć. Zdaje mi się jednak, że tobie chodzi o co innego. Myślę, że chcesz wyjść zamąż za Maurycego.
AUGUSTYNA *zuchwale* Tak, nie ukrywam tego.
GEORGE SAND Rozumiem cię aż nadto dobrze, moja droga. Zapewne i ty zechcesz mnie zrozumieć, jeżeli powiem ci, że nigdy nie dopuszczę do tego małżeństwa.
AUGUSTYNA Więc ciocia patrzała życzliwem okiem na nasz flirt, a kiedy dochodzi do małżeństwa, to basta, prrr!
GEORGE SAND Miłość a małżeństwo, Augustyno, to wielka różnica.
AUGUSTYNA Nie rozumiem tego.
GEORGE SAND Zrozumiesz to kiedyś. Maurycy potrzebuje zupełnie innej żony.
AUGUSTYNA Przedewszystkiem bogatej!
GEORGE SAND Być może że i o tem myślałam.
AUGUSTYNA Jest to romantyzm osobliwego gatunku.
GEORGE SAND Romantyzm jest dobry w książkach, czasem w życiu, ale nie jako zasada. Zresztą znasz Maurycego równie dobrze jak i ja. Sama wiesz jak mało jest w nim romantyzmu. Jest pozbawiony poezji. Nie powiem uczuć, gdyż ma dla mnie zawsze wiele serca.
AUGUSTYNA Łudzi się ciocia co do tego serca.
GEORGE SAND O, o tem nikt postronny nic nie może wiedzieć. Kocha mnie bardzo.
AUGUSTYNA Skłonni zawsze jesteśmy widzieć w drugich to uczucie, które sami w sercu nosimy.
GEORGE SAND Boże, co za filozofja. Moja Augustynko, tylko nie przybieraj tych póz uczonych, bardzo ci z tem nie do twarzy.
AUGUSTYNA Ciocia w ten sposób widzi w Maurycym same zalety.
GEORGE SAND Nie, nie, nie same zalety...
AUGUSTYNA Wydaje nawet się cioci, że jest genjalnym malarzem.
GEORGE SAND Zapewne pan Rousseau ci powiedział, że nie ma żadnego talentu. Pozwól mi nie wierzyć w to zdanie.
AUGUSTYNA Przeżyje jeszcze ciocia niejedno rozczarowanie.
GEORGE SAND Jedno mniej, jedno więcej, czy to nie wszystko jedno? Tylko teraz ta cała przygoda z panem Rousseau bardzo mi się nie podoba. Trzeba za wszelką cenę zachęcić Rousseau do pozostania w Nohant i do wybaczenia Maurycemu jego głupiego figla. To jeszcze dzieciak prawdziwy, nie wie co czyni. Obawiam się, że jeżeli się w to nie wdasz, moja Augustynko, będziemy mieli pojedynek.
AUGUSTYNA Pojedynek? Mój Boże!
GEORGE SAND Od ciebie teraz wszystko zależy.
AUGUSTYNA Co mam zrobić?
GEORGE SAND Odszukaj małego malarza i poproś go, aby został

w Nohant. Bądź dla niego uprzejma. A przedewszystkiem wytłumacz mu, że Maurycy jest tak dziecinny i po dziecinnemu porywczy, że właściwie mówiąc nie powinien odpowiadać za swoje czyny. Zresztą serce ci podyktuje co mu masz powiedzieć.

AUGUSTYNA Ach, ciociu, to doprawdy jest przerażające... *wychodzi*

George Sand, kiedy pozostała sama, zapomina natychmiast o wszystkich gwałtownych przeżyciach, bierze się do swoich korekt jak do narkotyku. Siada przy biurku, przerzuca papiery i zaraz zabiera się do roboty. Spogląda na godzinę, bierze pióro do ręki i na długich paskach korekty pilnie coś znaczy. Z pokoju Chopina dobiega staranne wykuwanie jakiegoś pasażu. Zegar bije. Chwilę trwa cisza. Wreszcie George Sand porzuca korektę, zamyśla się z głową wspartą na ręku.

PANNA DE ROSIERES *wchodzi szybko, rozglądając się dokoła, jest ubrana pretensjonalnie i szeleści jedwabiami* Moja droga, przepraszam, że ci przeszkadzam w pracy. Ale czy nie widziałaś czasem Antosia?

GEORGE SAND Owszem, widziałam. Przed godziną wymknął się do księdza na karty.

ROZJERKA *opada na kanapę* Pojechał do księdza na karty. A cóż to za szelma. I to w największej tajemnicy przede mną. Czy pożyczyłaś mu pieniędzy?

GEORGE SAND Nie mam pieniędzy do wyrzucenia. Zdaje się, że pożyczył od Chopina.

ROJZERKA Od Chopina. Niemożliwe.

GEORGE SAND Dlaczego?

ROZJERKA Chopin siedzi bez grosza. Już dawno Fontana nic nie wyciągnął od wydawców.

GEORGE SAND Biedny Fontana. Nie zazdroszczę mu tych ciągłych poleceń od Chopina i ciągłej bieganiny w jego sprawach. A co do Chopina, to może być bez grosza a dla rodaka zawsze coś gdzieś znajdzie.

ROZJERKA Osobliwy patrjotyzm.

GEORGE SAND Rzeczywiście. Najmądrzejszy Francuz go nudzi. A dla swoich zawsze ma czas i uśmiech i dobry humor, nawet gdyby to był jakiś najsurowszy barbarzyńca, czy nawet ta poczciwa Laura Czosnowska, która nas tutaj tak zanudzała.

ROZJERKA Biedak Maurycy dał jej to do zrozumienia.

GEORGE SAND A ona nie miała nic lepszego do roboty tylko poskarżyła się Chopinowi. Nie masz pojęcia jaką miałam o to awanturę.

ROZJERKA Awanturę?

GEORGE SAND Awanturę — oczywiście, taką bez słów, jak to on

potrafi, z tym parszywym arystokratycznym chłodem. Wolałabym, żeby mi garnki tłukł na głowie...

ROZJERKA *ze śmiechem* Widzę Chopina miotającego garnki! Ale coś ty taka dzisiaj rozdrażniona?

GEORGE SAND Jestem tylko zmęczona. Nie mogę dorwać się do mojej roboty, a tu trzeba nagwałt pisać, robić korekty, słowem, jakiś zapas materjału na jesień. „Revue des Deux Mondes" się sroży, tutaj też zaczynam mieć długi. Nie uwierzysz, ile kosztuje ten wielki train życia.

ROZJERKA Rzeczywiście, wyobrażam sobie, gości dom pełen, jeszcze i goście naszych gości...

GEORGE SAND Ach, Chopin nie jest moim gościem. Od dziewięciu lat zdążyłam się przyzwyczaić do niego i do jego manjer. Nawet do tej muzyki *wskazuje na drzwi* a to przecież jest nie do zniesienia. Słyszysz, jak on powtarza po piętnaście razy każdy takt? I co ja mam z tego wszystkiego?

ROZJERKA Niepokoisz mnie. Jeszcze nigdy nie widziałam cię w stanie takiego rozdrażnienia.

GEORGE SAND Bo myślę, że jeszcze nigdy się tak źle nie czułam. Wiesz co się stało przed chwilą: Maurycy spoliczkował Rousseau'a.

ROZJERKA Jezus Marja. Dlaczego?

GEORGE SAND *z pewną dumą* Stanął w mojej obronie.

ROZJERKA Nie chcesz we mnie wmówić, że Rousseau czyhał na ciebie.

GEORGE SAND Ten smarkacz? Obraził mnie słowem!

ROZJERKA Cóż teraz? Pojedynek pewny.

GEORGE SAND Wychowałam mego syna w pogardzie do tego rodzaju załatwiania sporów. Zresztą Augustyna do tego nie dopuści. Ale to pewne, że się teraz nie ożeni z Augustyną.

ROZJERKA O, mój Boże, a cóż ty z nią poczniesz. Przecież nie wydasz jej za Maurycego. Widzisz, do czego cię doprowadzają te twoje osławione macierzyńskie instynkta. Poco ci było brać to dziecko na wychowanie?

GEORGE SAND Wszystkie moje biedy z tego pochodzą, że traktuję tych ludzi jak moje prawdziwe dzieci. Ale Maurycy się z nią nie ożeni. Znasz go dobrze. Rozumiesz, sama mi nieraz to mówiłaś, że jest on niezwykłym człowiekiem. W obecnej konjunkturze łatwo się może zmarnować, ale przy zmianie ustroju może zostać odrazu wybitnym politykiem. Teraz musi się zadowalać malarstwem.

ROZJERKA *pochlebnie* Znakomitem malarstwem.

GEORGE SAND *z fałszywą skromnością* Ach, to dopiero początki, które nie znalazły łaski ani w oczach Rousseau ani Augustyny. Chopin też się na to krzywi.

ROZJERKA Zapominasz, że Chopin krzywi się nawet na malarstwo Delacroix.

GEORGE SAND Wymagając natomiast uwielbienia od niego. Więc moja droga, jakże ja mogę Maurycemu świat zawiązywać tą Augustyną? To nawet dobra dziewczyna, ale głupia jak gęś.

ROZJERKA Tak sądzisz, moja droga? Oczywiście, tak, tak, to jest głupia gęś, nie można jej wydawać za Maurycego.

GEORGE SAND Maurycy ma względem niej pewne zobowiązania, ale to głupstwo. Maurycy nie może się ożenić z kimś kto nie ma majątku. Musi dostać spory posag. Naprawdę, nie uśmiechaj się. Ale przecież oni po mnie a tem bardziej po ojcu nic albo prawie nic nie dostaną.

ROZJERKA Solange uchodzi za posażną pannę.

GEORGE SAND Chyba nie w oczach Fernanda. Ale taki człowiek jak Maurycy nie może mieć byle jakiego życia. Musi mieć na wszystko...

ROZJERKA Tak, tak, musi mieć na wszystko... Na życie, na pałac, na karty, na kobiety...

GEORGE SAND Na kobiety?

ROZJERKA No, wiesz, trudno mężczyznom odmawiać...

GEORGE SAND *ze śmiechem* Ach, wiesz jaką mam zabawną sprawę. Chopin prosił mnie o przyjęcie tej małej Madeleine do służby w pokojach. Wiesz, tej ładnej, co to... No, i przyszła dziś po raz pierwszy...

ROZJERKA Podziwiam cię, George. Jak ty możesz być taka niezazdrosna!

GEORGE SAND Ach, gdybyś ty wszystko wiedziała. Zresztą nigdy nie byłam zazdrosna. Z chwilą kiedy miałam powód do zazdrości... to mnie już nie było.

ROZJERKA Dziwię się Chopinowi. Taki człowiek.

GEORGE SAND Nie egzaltuj się. Antoś będzie się gniewał.

ROZJERKA Antoś wie, jaki jest mój stosunek do Chopina. Zresztą to zupełnie co innego. Antoś, to zwyczajna ludzka historja. A Chopin to przecie nie człowiek — to genjusz!

GEORGE SAND *ze śmiechem* Mimo genjuszu, to człowiek, tylko człowiek, moja kochana. To tylko po paryskich salonach przypisują mu jakieś nadludzkie zdolności i powiadają sobie legendy. Czyż może być coś bardziej ludzkiego niż ta prośba o przyjęcie Madeleine? Przecież on wie doskonale, że ja nie łudzę się wcale i zdaję sobie sprawę o co tu chodzi. A on tymczasem udaje że mu chodzi tylko o pomoc rodzinie biednej Urszuli. Nie byłabym właścicielką Nohant, gdybym nie wiedziała dokładnie co się w mojej wsi dzieje.

ROZJERKA Tak. Ale mimo wszystko, jest to niezwykły człowiek. Zawsze mam takie wrażenie, że całe Nohant jest przepełnione jego atmosferą.

GEORGE SAND *z goryczą* Możliwe. Używa tak ostrych zapachów.

Nie znoszę tego polewania się lawendą. Jak lala światowa, przepełniony jest zawsze wonnościami...

ROZJERKA *połapała się* Moja droga, to nie od perfum zależy. Ty się nie perfumujesz — raczej pachniesz cygarem — a jednak u ciebie jest tej atmosfery jeszcze więcej.

GEORGE SAND *łatwo się pociesza* Przypuszczam, że tak jest w istocie. Nie wiem tylko czy ty to odczuwasz. Bo widzisz, mnie się wydaje, że twórczość literacka jest bardziej uduchowiona od muzycznej. My pisarze mamy więcej do czynienia z myślą. Jesteśmy przytem bliżsi przyrody, która jest niewyczerpalnem źródłem ducha. Pomiędzy nami trafiają się tacy ludzie jak jego rodak Mickiewicz. Ludzie natchnieni, prorocy i wodzowie narodu, podczas kiedy muzycy... *zawahała się z odcieniem lekkiej ironji*

ROZJERKA *pokrywając wielkie zdziwienie* Tak, tak, oczywiście, masz rację. Ale naokoło Chopina odczuwam także jakąś duchową atmosferę jak naokoło ciebie, czy Mickiewicza, czy innego natchnionego pisarza...

GEORGE SAND Oni mają ułatwione zadanie. Przemawiają językiem zrozumiałym dla wszystkich narodów, dla tłumów nawet. Są oceniani odrazu, na gorąco, tem można tłumaczyć wszystkie wielkie sławy muzyczne, jak Liszt, jak Chopin. Podczas kiedy nas ocenia dopiero potomność.

ROZJERKA *szczerze* No, ty już na brak sławy nie możesz narzekać. Jesteś najsławniejszym w tej chwili pisarzem na obu półkulach. I co za tryumf dla ciebie jako dla kobiety — ta sława.

GEORGE SAND *z niejasnym uśmiechem* Tak, ale to nie to, to nie to... *słychać wyraźniej muzykę Chopina*

ROZJERKA A czy tobie się zdaje, że to co obecnie jest cenione w Chopinie, jest istotną częścią jego genjusza? Czy nie myślisz, że właśnie ten tłum, do którego on, jak mówisz, przemawia, ceni w nim to co jest powierzchowne, przemijające. Nawet my, muzycy, nie doceniamy albo i nie rozumiemy w nich tego co może jest najważniejsze...

GEORGE SAND Mam chwilami wrażenie, że to wszystko co otrzymują oni, muzycy, a może tylko Chopin, jest czemś bezwiednie niezasłużonem; że to przychodzi im zbyt łatwo, że poprostu śpiewają jak Arjel. Że obca im jest męka twórczości.

ROZJERKA A ty czyż nie piszesz arkusz za arkuszem bez przerwy, bez poprawki? A on czyż się nie męczy? Słyszysz jak pracuje teraz nad tą sonatą — czyż to nie jest męka?

GEORGE SAND Bo wam się wydaje, że proces twórczości pisarza — to siedzenie przy biurku i machanie piórem. Przyznaję, to przychodzi mi z pewną łatwością. Mam nawet niejakie zamiłowanie do stawiania tych czarnych liter na białym papierze. Ależ to jest rezultat wielkiej pracy. Męczących wahań. Dziś rano przez trzy go-

dziny jeździłam konno: hasałam, kąpałam się, wypoczywałam. Ale przez te trzy godziny nie rozstałam się z obrazem księcia Karola.

ROZJERKA Któż to jest?

GEORGE SAND To bohater mojej najnowszej powieści. Powieść nazywa się „Lucrezia Floriani". Przetransponowałam tam mój stosunek do Chopina.

ROZJERKA Naprawdę? Ach, to bardzo ciekawe!

GEORGE SAND Oczywiście, tylko tak jak to można w powieści. Chopin nazywa się księciem Karolem...

ROZJERKA Nie boisz się, że ci ten romans zaszkodzi?

GEORGE SAND *wzrusza ramionami* Cóż robić? Czasami nasza miłość istnieje tylko poto, aby się stać pretekstem do dzieła sztuki...

ROZJERKA Powiedz mi, moja droga... dawno chciałam ci zadać to niedyskretne pytanie: czy ty kochasz jeszcze Chopina?

GEORGE SAND Ja?... Chopina?... Powinnaś przedewszystkiem zapytać, co to znaczy miłość? Jaka miłość? Tyle jest jej rodzajów...

ROZJERKA O, ja to rozumiem tak zwyczajnie. Tak jak ja Antosia.

GEORGE SAND *w zamyśleniu* Tak jak ty Antosia... Być może, że tak ja nigdy nie kochałam. Szukałam zawsze czegoś największego i ostatecznego i nigdy nie znajdowałam. Za każdym razem zaczynałam życie nanowo — i za każdym razem doznawałam gorzkich rozczarowań. Jest we mnie jakaś mieszanina męskiego poszukiwania i macierzyńskiej czułości. Jak Don Juan w spódnicy, nawet nie w spódnicy, — bo znasz przecie moje zamiłowanie do męskiego stroju, — szukam i co chwila wydaje mi się, że znalazłam ostateczny ideał. A potem gdy się we mnie ten Don Juan rozczaruje, zamiast porzucać moją ofiarę — zaczynam ją pielęgnować — jak matka. No, i z tego składa się moje życie. Może trochę inaczej było z Mussetem... Ale z Chopinem?

ROZJERKA *po pauzie* Co z Chopinem?

GEORGE SAND Naturalnie, była to wielka namiętność. W momencie gdy u pani Marliani podawałam mu poprzez błyszczący mur fortepianu kartkę z napisem: „On vous adore", oczywiście, kochałam go... Ale to przecie już osiem czy dziewięć lat temu. Przyszły potem różne inne rzeczy, podróż na Majorkę, gdzie histeryzował i umierał naprawdę, gdzie prawie był trupem. Zimny, spocony, przeraźliwie chudy, leżał w mojem łóżku. Och, to okropne, Rozjerko! Takich prób nie przetrzyma romantyczna miłość.

ROZJERKA Biedaczko!

GEORGE SAND Ja miałam inne pojęcia o miłości. Mówią o mnie, że za dużo kochałam. Proboszcz tutejszy traktuje mnie z zabobonną trwogą jak największą grzesznicę. Ale ja każdą moją miłość uważałam i dziś jeszcze uważam za największą prawdę. Za dar największy życia, które jest tutaj tak bardzo piękne... a tam? Niewiadomo jakie będzie. W pięknie mojego życia ten trup nie mieścił

się, niestety. Pozostał mi jak drugi syn — i przyznam, mam z nim znacznie więcej kłopotu niż z Maurycym.

ROZJERKA Właśnie o tem myślałam. Masz ciężkie zadanie.

GEORGE SAND I w pewnem znaczeniu muszę powiedzieć, że go kocham. Tyle lat wspólnego życia, tutaj, w Paryżu. I zawsze ten sam chłód, ta sama dyskrecja z jego strony. Zawsze ten przebiegły wykwint, za którym kryje się jak za tarczą...

ROZJERKA Co ci jest, George? Płaczesz?

GEORGE SAND Nie wiem, co mi jest... Pewnie będzie burza. Czasami czuję się taka słaba. Mam tyle do zrobienia i tyle do przezwyciężenia, a wydaje mi się teraz, że wszystko napróżno... Dzieci...

ROZJERKA Pociesz się, to są chwile upadku genjalnych ludzi. Potem strumień twojej twórczości popłynie szerzej, gładziej.

GEORGE SAND Genjusz i macierzyństwo — to za duże dwa ciężary jak na moje barki.

SOLANGE *wpada od ogrodu — jest w kapeluszu, widać że wraca z przechadzki* Ach, Boże... Ten Fernand, zawsze się znajdzie na mojej drodze. Powiedziałam mu, żeby na mnie zaczekał w wąwozie, a sama uciekłam przez wieś. Byłam u starej Urszuli *patrzy znacząco na matkę* Rozmawiałam z Urszulą... *pani Sand nie rozumie tego wzroku*

ROZJERKA Męczysz twoich kawalerów, Solange.

GEORGE SAND Myślę rzeczywiście, że nie powinnać tak dokuczać Fernandowi.

FERNAND *wpada od ogrodu* Wcale mnie pani nie oszukała. Nie czekałem na panią w wąwozie, tylko poszedłem wprost przez pola do Nohant *wita się z panią Sand i z Rozjerką* Widziałem cały czas zdaleka pani kapelusz.

SOLANGE Śledzi mnie pan, co za bezczelność!

GEORGE SAND Solange!

SOLANGE No, moja mamusiu, jakże to nazwać inaczej! Czyż to nie jest zupełnie nieprawdopodobne postępowanie. Iść za kimś cały czas i śledzić go z ukrycia. A jeżelibym ja miała schadzkę z kim innym? I wpada teraz tutaj właśnie, kiedy chciałam powiedzieć o nim najgorsze rzeczy, najrozmaitsze najgorsze rzeczy. Myśli pan, że to nieprawda, niech pan się spyta panny Rosières, co ja zawsze o panu mówię?

GEORGE SAND Cieszę się, że cię widzę, Fernandzie, dawno nas nie odwiedzałeś. Jak zdrowie ojca?

FERNAND Dziękuję... *patrzy na Solange* Panna Solange nie daje mi powodów do bywania w Nohant: jest taka niezadowolona ilekroć się zjawię.

ROZJERKA Młoda, młoda...

FERNAND Ach, pani, jaka ona jest czarująca...

ROZJERKA Niech się pan jej nie narzuca. Radzę panu szczerze.

Mam wrażenie, że to może panu zaszkodzić *rozmawiają poufnie, przez ten czas Solange odprowadziła matkę nabok i mówi gwałtownym szeptem*

SOLANGE Mamusiu, mamusiu, wiesz, co mi powiedziała Urszula? Mówiła mi, że ta nowa Madeleine jest kochanką Chopina!

GEORGE SAND Uspokój się, mów ciszej...

SOLANGE Musisz ją natychmiast stąd usunąć. Natychmiast, słyszysz, natychmiast. Jeżeli tego nie zrobisz... to ja... to ja... wyjeżdżam z domu.

GEORGE SAND Solange...

ROZJERKA *do Fernanda* Czy widział pan już nowe róże? Kwitną pierwszy raz w tym roku. To te, które ojciec pana przysłał pani baronowej zeszłej jesieni. Zobaczy pan je i powie ojcu jak wyglądały... *wychodzą do ogrodu, widać jak spacerują wgłębi, po chwili przyłączył się do nich Clésinger, potem Augustyna*

GEORGE SAND Zachowujesz się skandalicznie. Patrz, Rozjerka musiała wyprowadzić stąd Fernanda pod jakimś głupim pretekstem. Dlaczego się tak zachowujesz? Uważam Fernanda prawie za twego narzeczonego.

SOLANGE Mnie jest wszystko jedno jak mamusia sobie jego uważa. Może mamusia uważać go nawet za mojego kochanka. Stary rak nie może gniewać się na młodego, że ten chodzi tyłem... Jedno jest tylko pewne, że mamusia natychmiast oddali tę służącą. Nie chcę i nie potrzebuję tego aby mieszkać pod jednym dachem z kochanką Chopina.

GEORGE SAND Solange...

SOLANGE Chciałam powiedzieć: z t a k ą kochanką Chopina. I wogóle nie rozumiem co to wszystko ma znaczyć. Jak ty sama zgadzasz się na coś podobnego? Cóż znaczy ta gminna rywalka?

GEORGE SAND Solange, jesteś głupia i zuchwała dziewczyna, wyrażasz się językiem markietanki.

SOLANGE Odziedziczyłam to po twojej matce...

GEORGE SAN Wara ci do mojej matki. Nic nie wiesz o tej sprawie.

SOLANGE Ale co tu ma twoja matka do roboty? Nie zmienia to twego stosunku do Chopina...

GEORGE SAND *w uniesieniu* Nic z tego nie rozumiesz. Nie jestem kochanką Chopina...

SOLANGE Naprawdę? *nagle bardzo wesoło* Naprawdę, mamusiu, naprawdę? Nie, nie, nie... To niemożliwe *bierze matkę za ręce i okręca ją jak frygą* Mama, mamusia, nie jest kochanką Chopina, mama, mamusia nie jest o niego zazdrosna...

GEORGE SAND Co ty wyprawiasz, dajże spokój natychmiast. Ciszej, na Boga, ciszej, czy nie rozumiesz, że powierzyłam ci tajemnicę.

SOLANGE Boże drogi, co za czasy! Dawniej byłoby tajemnicą, że mama jest czyjąś kochanką...

GEORGE SAND Bezwstydne dziecko. Skądeś ty się taka wzięła?
SOLANGE Całe pokolenia się na mnie składały. Nie wiesz, może ci wyliczyć?
GEORGE SAND Milcz!
SOLANGE *opadła na kanapę* Ale naprawdę nic z tego nie rozumiem.
GEORGE SAND Kiedyś ci to wytłumaczę.
SOLANGE Zaraz, zaraz, niech mi mama powie zaraz. Bo ja nic nie mogę zrozumieć.
GEORGE SAND Widzisz, że teraz nie pora. Dom pełen gości, młodzież się kręci koło ciebie...
SOLANGE Sama nie wiem co robić z tym Fernandem. Ja go naprawdę nie chcę, mamusiu. Wolałabym Clésingera.
GEORGE SAND Co ty pleciesz?
WODZIŃSKI *wchodzi na palcach* Psssst...
GEORGE SAND Już wrócił pan od księdza?
WODZIŃSKI Ale mam zaraz zamiar tam powrócić.
SOLANGE Zgrał się pan!
WODZIŃSKI Pani baronowo, niech mnie pani poratuje.
GEORGE SAND Ani mi się śni, zostanie pan w domu.
WODZIŃSKI Panno Solange, niech się pani za mną wstawi do mamusi.
SOLANGE Ani myślę. Znajdę na pana sposób *woła przez drzwi do ogrodu* Panno Rosières, panno Rosières, prędko, prędko, niech pani idzie, Antoś wrócił...
ROZJERKA *wpada* Gdzie? Gdzie?
GEORGE SAND Tu, tu jest grzesznik, niech pani patrzy jak się chowa.
WODZIŃSKI *chowa się za fotele i pragnie uciec* Niema mnie, niema mnie... *Rozjerka goni go, Wodziński ucieka do ogrodu, Rozjerka za nim, bieganina po ogrodzie, wreszcie Fernand i Clésinger wprowadzają Wodzińskiego za ręce, Rozjerka kroczy za nimi*
ROZJERKA *udaje że trąbi* Hallali — hallali — jest zbieg, jest jeleń, jest, pojmany, pojmany.
WODZIŃSKI Kiedy ja naprawdę obiecałem moim przyjaciołom powrócić do nich natychmiast jak tylko...
SOLANGE Jak tylko pan dostanie pieniędzy. Ale ponieważ pan pieniędzy nie dostał i nie dostanie — musi pan siedzieć w Nohant.
GEORGE SAND Tyle tutaj jest teraz młodzieży, a pan, panie Wodziński, ucieka wciąż do tych starych zacofańców. I co panu z tego przyjdzie? *Augustyna i Rousseau wchodzą do ogrodu, pani Sand rzuca zaniepokojone spojrzenie Augustynie, ta odpowiada uspokajającym gestem głowy* Cóż, nie maluje pan już więcej, panie Rousseau?
ROUSSEAU Owszem, zacząłem pejzaż, który mi się wydawał taki łagodny. Tymczasem, zdaje się, zbiera się na burzę.
CLESINGER Tak, lato burzliwe w tym roku...

MAURYCY Ale któż myśli o burzy *podaje rękę Rousseau* pogoda taka prześliczna. Właśnie chcieliśmy pana prosić aby nam pokazał swoje szkice z Nohant dzisiaj po obiedzie. Dobrze?
ROUSSEAU Niestety, zacząłem je pakować.
GEORGE SAND *bardzo władczo* Pan jeszcze chyba nie odjeżdża, panie Rousseau?
CLESINGER Nie ufaj za bardzo tej pogodzie, Teodorze.
FERNAND *bacznie mu się przypatrując* Tak pan myśli, panie Clésinger? *za sceną gwałtowne bicie w gong*
GEORGE SAND *podskakuje na siedzeniu* Ach, ten Jan... ileż razy trzeba go uczyć... *Jan wchodzi z gongiem* Janie, ile razy mówiłam Janowi, że nie należy tak długo dzwonić. Naprawdę można ogłuchnąć *Jan dzwoni w dalszym ciągu*
MAURYCY Czy Jan nie słyszy co pani mówi? Proszę tak nie dzwonić!
JAN A bo obiad stoi i stoi, a nikt nie przychodzi...
MAURYCY I nikt nie przyjdzie jeżeli nie będzie miał ochoty *grubjańsko wypycha Jana za drzwi*
GEORGE SAND Ja wcale nie mam jeszcze apetytu. Prawda, Maurycy, że jeszcze niema pierwszej?
MAURYCY Oczywiście, że niema. Ci Polacy pojęcia nie mają o godzinach. I poco on dzwonił?
CLESINGER Mam wrażenie, że właśnie uderzyła pierwsza na kościele. Nie słyszałeś, Rousseau?
ROUSSEAU U mnie już jest dwanaście po pierwszej.
MAURYCY A u mnie dopiero pół do pierwszej... Jeżeli kto nie wierzy, niech sprawdzi... a zresztą...
ROZJERKA Ależ oczywiście nikomu się jeść nie chce.
MAURYCY Niema jeszcze pierwszej, bo Chopin się nie zjawił. Nie macie państwo pojęcia co to za punktualność, gdy chodzi o jedzenie. Musiał się w dzieciństwie wygłodzić w tej Polsce, że teraz ma taki apetyt.
SOLANGE Maurycy!
GEORGE SAND Nie kłóćcie się dzieci. Jeszcze nam zostaje pół godziny czasu do obiadu. Po obiedzie zabawimy się w szarady. Teraz obmyślimy co będziemy przedstawiali.
AUGUSTYNA Ja proponuję „kolej żelazną".
SOLANGE Tak, ale jak to wyobrazić?
FERNAND Nie, co innego, winobranie, doskonałe słowo do szarad...
SOLANGE A ja proponuję „wzorowa rodzina".
ROZJERKA Niech każdy napisze swój projekt na papierze, i będziemy losowali.
SOLANGE Doskonale, doskonale. Mamusiu daj nam papieru... *bierze papier z biurka matki, rozsypując korekty i rękopisy, drze kawałki i rozdaje obecnym*

GEORGE SAND Mam nadzieję, że to nie „Lucrezia Floriani".
SOLANGE Nie, nie, znaleźliśmy wreszcie dobry użytek dla twego papieru...
Wszyscy biorą kartki i ołówki, i na chwilę towarzystwo tak skłócone i tak różnorodne, pogrążone w tylu namiętnościach, pochyla się nad stolikami, pisząc tematy do szarad.
SOLANGE Ale gdzie jest Chopin? Nie wyobrażam sobie szarad bez niego.
GEORGE SAND Daj mu spokój, Solange, on pracuje.
SOLANGE Ale niema teraz pracy kiedy są szarady. Musi nam akompanjować *otwiera drzwi do przyległego pokoju, gdzie muzyka już dawno umilkła.* Chopin, Chopin, chodź prędko, gramy w szarady, w szarady! *czeka przez chwilę, potem wraca na środek salonu* Zaraz przyjdzie. Teraz dopiero będzie wesoło.
JAN *wsadza głowę przez drzwi, szeptem do pani Sand* Proszę pani, proszę pani. Bo to jest suflet!
GEORGE SAND Boże drogi, na śmierć zapomniałam. Dzieci, dzieci, prędzej do stołu, mamy dzisiaj suflet z sera!
WODZIŃSKI Mój Boże, tam już pewnie po suflecie! *wszyscy wychodzą śpiesznie i ze śmiechem*
FERNAND *zatrzymuje Solange na chwilę* Panno Solange, niech mi pani koniecznie wyznaczy chwilę rozmowy.
SOLANGE *patrząc niecierpliwie i z niepokojem na drzwi Chopina* Ach, pan jest niepoprawny...
FERNAND Ja błagam, panno Solange.
SOLANGE No, dobrze już, dobrze.
GEORGE SAND Zostaniesz z nami na obiedzie, Fernandzie? *Fernand kłania się w milczeniu, George Sand zapędza wszystkich do jadalni, zostaje na chwilę sama, podchodzi do biurka i układa szybko porozrzucane przez dzieci papiery, zagląda do korekty, z trudnością odrywa się od swego zajęcia, muzyka nadobre dolatuje z pokoju Chopina, kompozytor przegrywa zaaferowane scherzo; pani Sand podchodzi do drzwi Chopina i stoi przez chwilę* Fryderyku! *bardzo stanowczo* Fryderyku! *muzyka się urywa* Obiad! Mam nadzieję, że nie zapomniano o twoim buljonie, znowu kaszlałeś dziś w nocy *idzie ku przodowi sceny, Chopin próbuje coś na fortepianie* No, chodź już nareszcie! Ach ta muzyka! Kiedy się zagra, o niczem nie pamięta! Nawet o jedzeniu! *do siebie* Nawet o szaradach Solange...

d. c. n.

Jarosław Iwaszkiewicz

BALLADA O POŻĄDANIU

Pięć głodnych zmysłów w szeregu
i ostre zęby, pazury,
kosem spojrzeniem spodełba
znów drzwi do kuchni odmykam.
Chleb długo dzisiaj majaczył,
wszystko wiadome jest zgóry:
obiad z trzech dań złożony
przez szyby chłepcę — z cennika.

W gąszczu jesieni i wiosen,
na tle, płonącem kąkolem,
kwitł dawno w życiu dom, który
już nie powtórzy się więcej.
Po cud: garść kwiatów męczących,
w ujęciu dzbana, na stole
wyciągam — drab podejrzany —
chutne, trzęsące się ręce.

Z modrych kominów zmierzch dymi,
gęstemi wali słupami.
Wiatr, postrzępiony rozpacza,
czepia się mnie i dmie w oczy.
Gdzieś na bezsennej pościeli
dygocącemi ustami
wymawiam święte twe imię,
naga, łajdacka nocy.

Eugenjusz Zieliński

ELEGJA

W blasku, któremu równa bielą pusta karta,
Rozścielałam się pod tobą jak dłoń rozpostarta,
O, wielkie niebo! widne odziemskim obłokiem,
Jasną bezdeń widzący już nie własnym wzrokiem.
Jak rozsadzane wzdętym naporem tętnice,
Spod brwi sklepionej stromo tnące błyskawice
W dno ryją się przepaści: odwróconą wieżą;
Drgają struny promieni, które bezkres mierzą.

Rzece, zamknionej w sobie, brzeg mrokiem nie przeczy,
Oswobodzone od nas, spoczywają rzeczy,
Tam morze leży płasko, snem zdjęty artysta,
Cisza przed nawałnicą i melodja czysta.
Warga szemrze bezgłośnie, nie znająca dźwięku,
Oddech drga zawieszony, jak ptak drżący w ręku,
Krew wzbita do zenitu, jak gwiazda polarna,
Czuwająca by słońca mełły się jak żarna,
Niebiosa są otwartą w uniesieniu zgłoską,
Która ryje swą słodycz na tablicach z wosku,
Płuco, unosząc zwolna pierś, jakby nakłutą,
Zapomina o żebrach, ciosanych przez dłuto.
Po szczeblach tych się wspinam, ledwo przebudzony,
W błogość różano-mroźną, w młody raj zielony.

Jak na szypułce jabłko, spada w czeluść oko,
Oglądając dno blasku jak piasek potoku.
Znów fala zwisa stromo na spienionym szczycie,
Samo sobie zastygłe przygląda się życie,
Warga trwożna uśmiechem nad jabłonką białą

Nie nazwie kształtu, który wyśpiewa jej ciało.
Onieśmielone ptaki trwają lotu cieniem,
Przesuwanym po tafli skrzydeł przypomnieniem,
W liściach wiąże się ranek zarysem westchnienia,
Który strugom dowodzi mgiełką ich istnienia,
Z obłoków łowi oczy, martwo rozchylone,
Gałęzie gięte wodą, odbiciem zjaśnione,
Poczem w otchłań różaną, światłem rozśnieżoną,
Opadają łodygi na śmierć wyznaczoną.

Powierzchnię toni wiatry gdy wyjące wzburzą,
Słońce rozkwita nagle płomienistą różą,
Jak tętno, które sączy zblakłej krwi ostatki,
Błamy wód zasnuwają purpurowe płatki,
Opada czerń wypukła, a zieloność siwa
W grozie ku księżycowi samotnie podpływa,
Ugóry wytężona trwa w zmiennym kołysie,
Jak Bóg, któremu wszechświat po raz pierwszy śni się.
Poczem rozpęka fala; tak senna źrenica
Łamie horyzont, który blaskiem ją zachwyca,
Przestrzeń pustynną zwiera w niebotyczne kręgi
Punkt światła, do okropnej rozrosły potęgi,
Linją, co biegnie w czeluść z oka wystrzelona,
Okala przestwór: zanim krąg więziony skona.

O, nieistnienia prawo! Bieli! Światło czyste,
W bezkres, znikąd i w nigdzie, dla siebie rozprysłe,
Które ogląda ślad swój jak odrębną strzałę,
Co bezcielesnem w pustkę posuwa się ciałem;
Zawieszona dygoce i przez wieczność zwleka,
Aż pchnie ją, aż odrzuci źrenica człowieka.
O, locie nieruchomy! Cóżże łzy te znaczą,
Gdy spływam, trup spłókany, na szczęśliwym płaczu?

Stefan Napierski

ZWYCIĘSKI ŚPIEW

Księżyc wytacza się ciemny — przytłacza stepy —
gwiazdy na sinem niebie, sygnały dalekich frontów,
spojrzeniem ciemność pruć
naprzekór głuchym i ślepym,
palcami objąć, uchwycić zamglonej twarzy kontur.

Smagli parobcy mroku spychają łódź
na ciemną toń Acherontu.

Kwiaty, które dotknęła posucha,
poniki nikłych wód, łąki okryte mgłą —
ucho do ziemi przyłożyć, przez chwilę słuchać
westchnień umarłych dni, gdy lat liczyłem osiem —
północ chlusnęła przez brzegi, i drżąc
krążę w złocistym chaosie.

Wodo, nikczemnie poddana spróchniałym mostom,
płomieniu, żywiole święty, ukryty w kamiennych norach!
Niebo nawisło nad nami, grozi gwiaździstą chłostą,
siła do słabych rąk, zachwyt źrenicom.
Z zaduchu podłych snów zbudź nas i poraź,
o burzo, o błyskawico!

Oto są pieśni pijackie — błędne ogniki trzęsawisk —
cień nietutejszych spraw na czoła padł —
od męki stulecia żaden nas świt nie wybawi,
nadchodzą myśli gniewu —
a każda nie ta —
dźwigając oburącz miecz, idzie przez świat
groźny Porfirogeneta.

Biją pioruny boże, i pęka struna za struną, —
przyzywa ziemia pomocy jękiem szarpanych drzew,
ten głos płomieniem się burzył, przez okno frunął,
skrzydła połamał młode,
skarżył się — gasnę! —
Widma stukały do okien — prowadził daremny gniew
przez sny dla źrenic niejasne.

Szeroko wilgotne mgły, ołowiu zimne fale,
stopy przestrzeniom niechętne, usta bez krzyku stygną —
obrzękłe cielska dni unosi zielony zalew,
serca spokojnie się tłuką, daremny wszelki zachód,
spocone czoła niemowląt znaczy nikczemne signum
niewoli, śmierci i strachu.

Trzaskają wieka drzwi u mieszkań-trumien,
przygniotły słabe ramiona naręcza trosk.
A taki świat nie dla nas!
W zmieszanym tłumie
ręce się nasze zetknęły pośród gwarnego koła,
uśmiechy szły na spotkanie, i wielki głos
ku innym ścieżkom wywołał.

Na ziemi umiłowanej do trudów staniem!
Nie wyrwiesz młodych źrenic z władzy strasznego uroku...
Kto niepokorną modlitwą wyszeptał z nocy świtanie
i radość białego dnia odmierzał szumem drzew?
A w nas, o miła,
błogosławiony niepokój,
usta na ustach, oczy na wichrach płoną...

W dalekiej ciasnej izbie usłysz mój śpiew
przeciw zwycięskim demonom...

Józef Łobodowski

SZEKSPIR

Wypadło ci pióro z rąk, flet naszych cnót i zbrodni;
Szekspirze, nie zaśniesz dzisiaj, choć dawno zgasł twój dzień,
popiołem opadł na karty, sadzą czarną od ogni,
w zastygłe pod ręką znaki, w alfabetyczny cień.

Zmierzch prószy, gwiazda rozbłysła, świat — obrotowa scena.
Tę scenę z gwiazd i obłoków widzisz na stawu dnie?
Taka w mych oczach jak w stawie, choć jej właściwie niema,
a jednak prawdą niemniejszą od tej prawdziwej tchnie.

Otwarty jest teatr dziejów — wiążą się lata w dramat
przy zmianie tych samych zawsze dekoracyj i ramp.
A człowiek od wieków mówi, usta — otwarta rana,
i jak był wtedy samotny, tak samo dziś jest sam.

I żywot swój i moc swoją i swą przed śmiercią bezsiłę
zamyka w hieroglif gestów, w ślady swych rąk i nóg,
w zodjaki liter niekształtnych, w konstelacje zawiłe,
w układy krążących świateł, w systemy mrocznych dróg.

O astronomjo cudowna, sekretna nauko serca,
przedziwną mocą wiązany stoi twój trudny gmach,
nie ruszył go czas zawistny, rzeczy ziemskich pożerca,
wszystko na jawie się dzieje, co przed wiekami — w snach.

Cóż wiek nasz? Kropla w strumieniu, łza co spod rzęs się stoczy,
puls wydobędzie z powierzchni, za kręgiem wodny krąg,
a ode dna prześwitują tamte nieziemskie oczy,
twarz w nimbie tych kręgów-wieków, dziełem nie naszych rąk.

Z bladego w tłumie oblicza, z gestu otwartej dłoni
wywodzić myśli ukryte, wróżby tajemnych nut,
to więcej, niż czytać z mapy, z sieci u starczej skroni,
od której siwizny w serce śmiertelny wieje chłód.

Rozsypał się flet Hamleta, ciało, i krew, i kości,
lecz ton z nich wyprowadzony aż dotąd czysty trwa,
i ciągnie się poprzez wieki wzniosła struna światłości,
współdźwięczy z krwi naszej biegiem i w sercach naszych drga.

Gdyby się ludzkość zapadła a Bóg o niej zapomniał,
odnalazłby ją w tej strunie, poznał każdego z nas.
To nic, żeś popiół na kartach, sadza czarna od ognia,
Szekspirze nie zaśniesz dzisiaj, choć dawno dzień twój zgasł.

Wciąż słychać głos twój nad nami donośny i straszliwy:
— Hamlecie! Eheu! Makbecie! przepaść, przepaść za mgłą!
Zrywam kurtynę obłudy! Odsłaniam teatr żywy!
Patrzcie! Przypatrzcie się sobie! Sądźcie — śmiechem i łzą!

Marjan Piechal

A teraz zmierzch, i patrz: w granicie
Stoją wyniośle jak prorocy.
Ponad doliną jak nad księgą
Wpatrzone ich kamienne oczy.

Z losów drzew, traw, strumieni, ludzi,
Jak z alfabetu kosmicznego,
Czytają prawdę dni i nocy
Prorocy skalni w mgłach i śniegu.

Czytają prawdę dnia narodzin,
Wzrostu, rozwoju, śmierci, życia —
Prawdę tryskania kiełków z ziemi
I kłód zbutwiałych w rzek korycie.

O, alfabecie losu! Klęsko
Codzienna nasza i nadziejo!
Od tej lektury — widzisz — twarze
Proroków gasną i ciemnieją.

Dolina w wieczór jako księga
Z rąk smutnych opuszczona spadła —
I milczy księgą przerażoną
Proroków skalnych twarz pobladła.

Jedynie wiatr — Sofokles dolin —
Chór starożytny w noc zawodzi
Do wtóru sosnom, śpiewnym wodom:
„Nasłodziej było się nie rodzić —
A zrodzonemu umrzeć młodo!".

KŁAMSTWO WIECZORU

Oto kłamstwo wieczoru. Myślisz: wiatr oddycha
Płucami twemi.
Obłok jak ręka twoja łagodnie odpycha
Dotknięcie ziemi.

Świerki mają twe usta, a z tych ust wypływa
Milczenie twoje.
Na płot patrzysz i czujesz: tak, to prawda żywa,
Ja płotem stoję!

A gdy jeszcze nietoperz zacznie kreślić koła
Pod horyzontem,
Wierzysz: to pod sklepieniem zmęczonego czoła
Myśl ma się pląta.

Dziewczyna idzie ścieżką. I jesteś dziewczyną
Wiotką i białą —
I nie wiesz, i nie czujesz, gdzie się świat zaczyna,
Gdzie kończy ciało!

Zolbrzymiony wieczorem, układasz się w łoże
Północą ciemną
I modlisz się: ulituj się nad światem, Boże,
Nade mną!

Wojciech Bąk

DWUGŁOS

I. Codziennie błękitnieje słoneczny widnokrąg,
i pośród ciemnych sosen płyną żółte drogi.
Przez przeszłość, cmentarz wspomnień i więdnących mogił,
przepływa mój samotny, skołatany okręt.

II. Nie patrz wstecz, komandorze. Spojrzenie jak żagiel
rozwiń w przestrzeń szumiącą, w czas nadpływający.
Patrz — południe minęło. Zachodzące słońce
spowija horyzonty w purpurową flagę.

Spójrz — zmierzch z dali nadpływa, szeleszcząc. Żywicą
pachną ręce bronzowe, werandy i drzewa.
Przestrzeń pluszcze u brzegu wieczornego nieba
naprzekór uwikłanym w gałęzie księżycom.

III. Już dobrze. W rękach tulisz dłonie najcieplejsze.
Wpływasz jasnem spojrzeniem w ukochane oczy.
(Miłość, głębia milczenie, jasny granat nocy.
Szumią sine akacje. Świerszcze szepczą wiersze).

ELEGJA MONUMENTALNA

To słońce rozsypane w żółty suchy piasek
szeleści pod stopami na gorących drogach.
To trawy kołyszące zielonawą jasność
opływają werandy południem bezszumnem.

Spłynął wiatr w ciepłe liście. I jasność się wzmogła.
O wichrze metamorfoz otulony lasem.
O drzewa przetopione w doryckie kolumny.
Spłynął wiatr w dróg dalekość. I blaski zagasły.

Przyjacielu, to szelest przerzucanych kartek,
mądre oczy wtopione w białą perspektywę,
w cieniu altan szumiących regularnych profil:

Oto pejzaż daleki skamieniał i zmartwiał,
las przestrzeni do ziemi horyzontem przywarł,
jak zamarły wiersz spięty w dwie zastygłe strofy.

J. K. Weintraub

ANTAGONISTA WYSPIAŃSKIEGO

W r. 1898 Stanisław Tarnowski jako redaktor „Przeglądu Polskiego" odrzucił „Franczeskę z Rawenny" Felicjana, poddając jako przyczynę odmowy to że „Przegląd Polski" dramatów nie drukuje.

W jakiś rok potem Felicjan notuje w swoim pamiętniku: „Od tego czasu zmienił widać zdanie (mowa o Tarnowskim); w lipcowym bowiem zeszycie z r. 1899 czytać tam można Protesilausa (sic!) i Laodamię — tragedyę *modernistyczną* Stanisława Wyspiańskiego".

Wyraz „modernistyczna" jest podkreślony przez Felicjana cienkim złośliwie się wijącym wężykiem — zapewne z uśmiechem gorzkiej ironji na temat specjalnie dla Felicjana drażliwy i bolesny, na temat niesprawiedliwości krytyki. Odrzucenie „Franczeski" a wydrukowanie tragedji nikomu nieznanego autora, w dodatku „modernisty", musiało specjalnie zaboleć sędziwego autora „Althei", nabierając posmaku niezasłużonej i niemiłej drwiny losu.

Wobec Młodej Polski zajmował Felicjan stanowisko zdecydowanie niechętne. O Kasprowiczu i Tetmajerze pisze pod r. 1897, że „lat temu dwadzieścia, trzeźwiejszych niż oni do czubków posyłali". Młodemu pokoleniu zarzuca „rozczarowanie, zniechęcenie do życia i ostateczną bezrodność", piętnując zgubne wpływy „skandynawizmu" i „Moskwy z Dostojewskim i Tołstojem". Na dnie tej niechęci tkwił być może dawniejszy uraz jeszcze z epoki manifestu „My i wy", kiedy to Faleński został ostro zaatakowany i ośmieszony przez ówczesne młode pokolenie pozytywistów, ale czynnikiem dominującym było zapewne poczucie zasadniczego rozdźwięku z hasłami schyłkowców.

Tak więc — od osobistej urazy na tle rywalizacji autorskiej, pogłębionej ogólną niechęcią do modernizmu — rozpoczął się ten zewszechmiar dziwny i interesujący stosunek obserwatora i krytyka wobec niezrozumiałego i wrogiego mu zjawiska, któremu było na imię — Wyspiański.

W latach coraz to nowych i coraz bardziej olśniewających debjutów literackich i scenicznych autora „Wesela", Felicjan, mimo iż czuje się, jak sam to wyraża, „zabytkiem" dawno przebrzmiałej epoki, nie rezygnuje z kontaktu z życiem literackiem najnowszej doby, czyta — i to pilnie — Przybyszewskiego, Tetmajera, Kasprowicza, Rydla (któ-

rego uważa za najcelniejszego autora Młodej Polski), czyta też Wyspiańskiego, z całym nakładem dobrej woli usiłuje go zrozumieć — i nie może.

O ściany jego warszawskiej samotni przy ulicy Wareckiej obija się rozgłos „Wesela". Dramatu na scenie nie widział i nigdy mu widzieć nie było dane, ale przeczytał „Wesele" w wydaniu książkowem.

Na kartkach swego pamiętnika, pochodzących z listopada 1901 r., spisuje Felicjan tę jedyną w swoim rodzaju recenzję, w której bez widzów i słuchaczy, skoro to co pisał nie było przeznaczone do druku, stacza generalną rozprawę z Wyspiańskim.

Oto ona:

„Wyspiańskiego Stanisława: Wesele, Dramat

Obecnemi czasy, mówiąc o przedstawieniach scenicznych, tak dalece nieraz nadużyto wyrazu „szopka", że kiedy przychodzi zdać sobie sprawę z takiego utworu jak ten tu oto, wydaje się rzeczą nie do odżałowania: że z tem określeniem nie poczekano cierpliwie, ażeby się on, nie kto inny, światu objawił.

Lalki na kijkach, brane z koszyka, gadające wprawdzie nie zawsze od rzeczy — ale po ich wypowiedzeniu rzucane na kupę, wśród której leżą kolanami przy łokciach, piętami przy brodzie, wreszcie do góry nogami — ale im to wszystko jedno, bo ani żyją, ani tem bardziej ruszać się mogą bez czyjej pomocy. W najlepszym razie, wygląda to jakby pomysł z czasów dzieciństwa czy chwilowego zdziecinnienia sztuki, w rodzaju: Dialogu Dominikańskiego albo Szkolnej Mizeryi. Radbym niezmiernie: aby mi kto z adeptów opowiedział treść owego tak zwanego naiwnie dramatu. Tylko że w podobnych okolicznościach nie jednego już doznałem zawodu.

Oto, będzie temu lat z dziesięć, kiedy to po raz pierwszy odkryto u nas Szelleja, i to w taki sposób, że go odrazu nazwano „największym wszystkich miejsc i czasów poetą"; przypada do mnie jedna z kuzynek i zaklina na wszystko na czem świat stoi: że ona co najprędzej musi przeczytać Prometeusza Rozpętanego — inaczej, życie będzie jej nie miłe. — Dobrze — powiadam — dołożę wszelkich możebnych starań, żeby ci świat w kwiecie wieku ciężarem nie był — stawiam tylko ten warunek: że mi po przeczytaniu zdasz sprawę z wrażeń tej lektury, a zwłaszcza treść mi jej opowiesz. — Wzięła książkę, przeczytała i naturalnie nie odniosła — tylko trzeba było samemu przyjść po jej odebranie. — Pytam jej tedy: — No a cóż mi o tem masz do powiedzenia. — A! to jest tak piękne, że tego. Bo, prawdę powiedziawszy — No juściż w epoce takiej jak dzisiejsza — wyziębłej. — Ale że dążenie do ideału i ta tęsknota... ale kiedy wujaszek z niedowierzaniem tego słucha — Wcale nie. Chcę się czegoś nauczyć. Wszak do grobowej deski człowiek rad wiedzę zdobywa. Po-

wiedz mi chociaż w krótkości: o co tam chodzi. — A! to są poglądy! Zresztą — niezmierna podniosłość — rzeczy niebotyczne — niewypowiedziana potęga — spojrzała na zegarek (nieszczęśliwy zegarek — czasem co chwila nakręcany, a czasem razem z paskiem przy rozbieraniu *niechcący* na ziemię rzucany). — Ach! jakżem ja się zapóźniła! A tu właśnie pora odczytu pani Rajnszmitowej, czy Szeligi. — To powiedziawszy, zabrała się i prędko poszła przyzwoicie się na ów odczyt spóźnić — i tyle ją widziałem.

Innym razem, wraca z miasta służąca moja ogromnie spłakana. — Cóż się to stało? — A to ona wraca z kazania u Reformatów niejakiego księdza Wojciecha. — Narodu jak nabił — ludzie zanosili się od płaczu — ryk taki, co niech Ręka Boska obrania! — A o czemże było to kazanie? — No — powiada — ksiądz mówił: prawowierni Chrześcijanie! Tu rozpłakała się i mówi szlochając: — powiada: prawowierni Chrześcijanie! Tak dopiruj — I znowu zaczęła nos wycierać. Pytam zniecierpliwiony: — No ale cóż on mówił dalej. — Spojrzała na mnie zgorszona. — No przecie sprawiedliwie mówię jak było. — Prawowierni Chrześcijanie — i tam. Ale co to gadać. Ludzie okrutnie płakali i tego... — Dość że nigdy z niej nic już więcej wyciągnąć nie mogłem...

Tak więc, jak się patrzy, nie mając zgoła szczęścia do wyjaśnień, myślę właśnie: do kogoby się tu zwrócić w sprawie ciemności owego „Wesela". Juściż chyba do Tetmajera. Ale jakże? Do tego rozdawcy szczodrobliwości, który właśnie tylko co uwieńczył na Kapitolu sprawcę tej rzeczy? A nużby mnie w odpowiedzi kopnął tylko nogą wzorem Przybyszewskiego, tak, że poleciałbym wprost na Gemońskie Schody, przy wielkim śmiechu wtajemniczonych w ową zagadkę. Nie — tak nie można. Trzeba samemu sobie radzić! Jakże się to nazywa? dramat. No więc musi tu być gdzieś jakiś bohater. Szukajmy. Jestto zapewne Jasiek, który róg zgubił, i przeto cierpi wstrząśnienia traiczne. Ale ten jest tylko pachołkiem gospodarza, który, upiwszy się, widział nadziemskie zjawisko, czyniące go nadczłowiekiem. Ale ten nadczłowiek jest znowu pod pantoflem swojej połowicy, która mu iść spać kazała, sama zaś skrzętnie schowała złotą podkowę. Więc niby ona. Ale znowu takie tuzinkowe babsko, będące w służbie własnej chciwości! Toć już od niej kosztowniejsza chyba owa podkowa! — A! jestem nareszcie na tropie. Bohaterem jest tu idea patryotyczna — nowe pokuszenie do powstańczegu ruchu, z którego uśmieją się sobie grubo Branicki i Szela, a Stańczyk smutnie tylko głową pokiwa. Dobrze. Tym razem Ruś niby idzie w pomoc Koronie — bo to Wernyhora, stosownie do przepowiedni, przybywa do czynu pobudzić. Dla czego on jednak na weselu się zjawia? Zapewne z tego samego powodu, co Żeglarz Coleridża, również na wesele nie zaproszony a jednak przybyły. Ale mniejsza o to. Gorzej daleko, że to nie jest ten sam, który, u Słowackiego jeździ „w świetlistej bieli" — dobry duch Ukrainy —

niemal pobratymiec księdza Marka. Wcale nie. Raczej on z piekła rodem. Koń jego parzy ogonem i grzywą, bucha z nozdrzy płomieniami, i wreszcie ogniem „piardnął“ [1]) zanim odleciał. A cóż tu ma za znaczenie ów Chochoł słomiany (Chochłami, jak wiadomo, nazywają Małorusów) który drzwi z Jaśka, kiedy ten, schyliwszy się p oczapkę z pawiem piórkiem, zgubi ów róg złoty mający lud pobudzić do czynu? Widocznie gra on tu rolę tak zwanego w dzisiejszych tendencyjnych dramatach rezonera (mądrali). I na tem kończy się ów dramat, który, że nosi nazwę Wesela, więc właściwie jemu po słuszności przypadłaby rola tytułowa — ale to bohater tak roztrzepany, że nim doszło do końca, on już własnego nazwiska zapomniał. — No, ostatecznie, przy najmozolniejszym wysiłku, nie dowiedziałem się tu niczego. Taką już mam ciasną głowę. Bo przecież, utwór ten ogólnie uznano za arcydzieło, o którem wreszcie wyrokuje Tetmajer (w Tyg. Il. N. 44 na str. 861): że „będąc koroną dotychczasowej Wyspiańskiego poezyi, owo sławne „Wesele“ legendową aureolą rzuca na czoło poety“. A mówi to w ciągu rozprawy, w której zgóry zaznacza mu stanowisko Wielkiego (co rozumieć należy Największego) naszego poety. — Tak więc — habemus Papam. Ale Przybyszewski to samo twierdzi o Kasprowiczu, a Bukowiński jeszcze wprzódy o Żeromskim. Więc jest ich trzech jednocześnie, jak już bywało i w Kościele, — który też z nich na stanowisku się utrzyma? Ale co mnie do tego.

Co się zaś tyczy Wyspiańskiego, mam sobie o nim następujące odszczepieńcze mniemanie. (Gadam to wszystko na osobności, do siebie samego, — więc mię nie słyszy ani Marennowa, ani Ignacy Matuszewski, ani Władysław Jabłonowski, ani nikt z takich, którzy — jak to twierdzi Deotyma — nie mają odwagi narazić się na utratę chleba, wyznając głośno: że im nie w smak bieżącej kołowacizny upodobanie). Otóż — tak, jak bywają kobiety ogólnie zwane pięknemi, o których jednak nikt nie powie, żeby były ładne; tak, mojem zdaniem, Wyspiański, może sobie być nawet geniuszem, ale nie podobna mu przyznać talentu. Czyli, przetłumaczywszy to na prozę: ten Wielki poeta, ani Wielkim, ani nawet poetą być się nie wydaje. Na to dość zbliżyć z sobą takie dwa utwory, jak owo jego Wesele i Rydla Zaklęte Koło (sic!). Oba one pochodzą z jednej szkoły. Zaklęte Koło jest przeróbką Balladyny, tak jak na owo Wesele szeroko zaproszono: Sen Srebrny Salomei, Niepoprawnych, Księdza Marka, Króla Ducha, Beniowskiego, e tutti quanti — a przecież, ślepy chyba nie dopatrzy: kto tu jest Mistrzem a kto partaczem. Nie ma co nawet porównywać z sobą logiki pomysłu dwóch tych robót. Zaklęte Koło, przy wszystkich swoich usterkach, jest bądź co bądź dramatem pełnym wzruszeń, wypowiadanych wprawdzie w formie przeważnie lirycznej — ale bo

[1]) Tak stoi w druku. Nie wiem, czy się też wygłasza na scenie. Ale że to chłopskie wesele — więc swoboda wszelka dopuszczona.

też liryka jest osobistą właściwością Rydla bodaj czy nie najwdzięczniejszego obecnie u nas poety. I jaka to liryka! Na wskroś piękna, szlachetna, słoneczna, sama z siebie idąca w serce — a dźwięczna jak szczere złoto. I czy podobna, choćby zdaleka, przymierzyć do niej ową retorykę Wyspiańskiego, wypowiadaną niezdarnie wierszem koszlawym, lichym, nierzadko nawet zgoła śmiesznym (sądzę, że mam w tym względzie niejakie prawo być wybrednym).

Wreszcie, w całej tej sprawie użyczmy głosu samemu tak zwanemu Wielkiemu Poecie. Oto, co powiada Radczyni do Panny Młodej (na str. 181):

Ja wiem, że twoja uroda
Nie jedną trudność przesili,
Żeś sobie młoda.
No, ale o czem wy będziecie mówili,
Jak tak nadejdzie wieczór długi?
Mówić się nie chce, trza przesiedzieć.
On wykształcony, ty bez szkół.

A na to Panna Młoda:

Pocóżby prosę pani gadoł,
Jakby mi nie miał co powiedzieć?
Pocożby sobie gębę psuł?

Tak więc, powiedzieć się godzi: Wyspiański również w całym tym dramacie niepotrzebnie sobie tylko gębę popsuł, o ile gadał do takich jak ja i niektórzy mnie podobni, nie mający patentu z modernistycznej szkoły.

Dość tedy, że wkraczamy nader okazale w Świątynię Piękna wcale dotąd nie bywałą. Jakto, nie bywałą? Spójrzmy nie dalej jak na owe boginie porozstawiane tu i owdzie w Saskim naszym ogrodzie. A toćże im już i wtedy karki od powykręcania trzeszczały — ręce ich bolesny kurcz miał we władaniu — a zaś nogi dziś jeszcze bierze ochota powsadzać w odpowiednie stawy.

I co się tu zastawiać Słowackim? Najwięksi geniusze bywało w epigonach swoich karykaturalni się stawali. Michał Anioł stworzył barok, w którym krzywizna wygnała za drzwi prostotę. W tym względzie proszę jeszcze raz posłuchać „Wielkiego Poety". Mówi on z pomocą „Nosa" (niby przez nos, na str. 159):

Chciałem
Do prostoty się przymusić.
Ale cóż, kiedy natura

Rozśpiewała moją duszę.
Czuję psiakrew [2]) serce — czuję.

W tem miejscu raz jeszcze ku Rydlowi się zwróćmy. Wprawdzie jego się to tam z łaski Wyspiańskiego odprawia Wesele, i, jak to mówią, darowanemu koniowi nie wypada zaglądać tak dalece w zęby (przy ludziach); ale dajmy na to na osobności, w zamkniętej szczelnie komorze, zastanowiwszy się nad własną wartością, czy się przypadkiem za boki nie wziął, jak ów niegdyś Augur Rzymski, dla oka tylko wierzący w drewniane dobre jedynie dla motłochu bożyszcza. I doprawdy miałby wszelkie po temu prawo. Bo jeżeli kto, to on istotnie wyczuwa w sobie serce zbiorowe, i nie co innego, jak popęd wrodzony rozśpiewał jego duszę i przeto wcale się on do prostoty przymuszać nie potrzebuje — bo ta mu jest, jak życie samo, wrodzona".

Dopisek późniejszy:

„Z wielkiego rozmachu twórczego ku zdobyczom ducha w dziedzinie nieznanych niby to do tej chwili pomysłów, bodaj czy nie cofamy się, sami o tem nie wiedząc, w epokę z której się już naśmiano w czasach romantyzmu — poniekąd słusznie — chociaż to ośmieszenie, jak się patrzy, nie było zabójcze. Bo oto poemat Tetmajera „Podczas Wiatru" (Bibl. Warsz. z Lutego 1902) czyż nie jest znowu w stylu Ogrodów Delila, i w ogóle tych dydaktycznych utworów owego pompatycznego poety, jak „La pitié" „La Conversation" „L'homme des champs" itp? Nawet pisany jest zaniedbanym już oddawna klasycznym trzynastozgłoskowym wierszem, tyle tylko że jeszcze nie dystychami, rymującemi po dwa wiersze z rzędu. Albo, czy manifest do narodu, ogłaszający Wyspiańskiego za największego swoich czasów poetę, nie przypomina nadętej apologii Stanisława Potockiego o Józefie Szymanowskim, z powodu Świątyni Wenery w Knidos, którą uważa za epokowe arcydzieło, mniemanego zaś jej twórcę za opatrznościowego pieśniarza godnego uwieńczenia na Kapitolu?

Sądziłby się z tego godziło: że postęp miewa chwile, w których w tył się odsadza, zapewne (co daj Boże) na to, aby tem energiczniej na przód się kopnąć. Bądź co bądź, nie łatwo to jednym skokiem zdziałać coś nowego pod słońcem. Ostatecznie, wydaje mi się Wyspiański najznakomitszym poetą między malarzami — i bodaj czy także nie największym malarzem w pośród poetów. Ostatecznie zaś, bodaj czy nie o nim godziłoby się powiedzieć w prywiślińskiem narzeczu: że „jest u niego porywy z niedostatkami".

---

[2]) Nie wszyscy są tu równie źle wychowani. Owszem wcale przeciwnie — chłopi np. mówią z pańska „basta", zamiast dotychczas przez siebie używanego „i już" albo „i tyle".

A oto — o parę kart dalej — spotykamy uwagi, poświęcone „Wyzwoleniu".

Przeczytanie „Wyzwolenia" uważa Felicjan za czyn bohaterski i podziwia tych, „którzy znaleźli w sobie męstwo wysłuchania tej rzeczy jednym ciągiem na scenie". Konradowi zarzuca że nie jest bohaterem „traicznym" i broń przeciwko zawiłościom myślowym utworu znajduje w wypowiedzi maski 18: że „nie ma myśli tak niejasnej, którejby człowiek, myślący jasno i wyraziście, nie przenikał i nie rozumiał".

W konkluzji rozważań na temat „Wyzwolenia" przychodzi Felicjan do takiego wniosku:

„Ostatecznie, rzecz streszczając, sądzę, że zarówno o niniejszym tak zwanym dramacie, jak i o całej dotychczasowej działalności tego uwieńczonego przez Tetmajera poety, imieniem pojętnych jego wielbicieli powiedzieć się godzi to, co Konopnicka wkłada w otwartą gębę małego pińczuka, który, wprowadzony do Izby Sądowej, na widok portretu Cesarza w orderach i w złoconej ramie, nie mógł się powstrzymać od wykrzykniku:

Wielka bogatość! okropnie wielka bogatość!".

Pomiędzy kartkami owych notat Felicjanowych błąkają się pożółkłe wycinki z gazet. Wycinki, mówiące o wielkości i powodzeniu Wyspiańskiego. I znów — technika podkreśleń. Podkreśla zaś Felicjan takie zwroty, jak „arcydzieło wielkiego mistrza" (o „Weselu"), „największy poeta doby obecnej", „talent Wyspiańskiego" i t. p. Każde z tych podkreśleń jest gorzkim, sardonicznie-zgryźliwym uśmiechem nad drogami wielkości i sławy, sławy, której owoców jemu, mimo iż czuł się w swej duszy godny i powołany, posmakować nie dano.

Na rok przed śmiercią Wyspiańskiego próbuje sędziwy wielbiciel prostoty i klasycznego piękna zdać sobie jeszcze raz sprawę z całości twórczości Wyspiańskiego:

„...wydaje mi się Wyspiański najdokładniejszym wyobrazicielem Epoki, którą godziłoby się nazwać poprostu Zdziecinniałością Sztuki. Jakoż, istotnie, charakter jego działalności posiada w sobie wszelkie cechy starczych niedomagań, cofających osobnika w czasy, kiedy się to dopiero zębów nabywało. Język mu się plącze najczęściej z gramatyką w niezgodzie, w mierze, powiedziałbym, zgoła przed Rejowskiej; równie jak i wiersz, utykający na każdym kroku w rytmach i budowie. Forma też tych jego „dramatów", czy to nie coś pośredniego: pomiędzy tworzonemi niegdyś przez Żaków mysteryami szopkowemi, i rybałtowskiem późniejszem dialogowaniem? pomysły też w swej reformatorskiej bucie, czyż nie przywodzą na pamięć zarozumiałości trzecioklasisty, przekonanego o niedołęstwie nauczycieli z tego powodu: że go wyrwali właśnie wtedy, kiedy lekcji nie umiał?

Cyda przerabia, Dziady dodatkami bogaci — słowem tak te rzeczy przykrawa, jakby je w przekonaniu jego, zdziałać byli powinni Kornel i Mickiewicz, gdyby byli mieli choć trochę roztargnięcia. Historyę nawet, jak mu się podoba, nakręca. W tym względzie najpocieszniejszym jest pomysłem (w Legionie) cesarz Mikołaj I (!) przed obliczem Grzegorza XVI (!) dający drapaka (!) na sam widok Makryny Miecznikowskiej (!) — Te zaś niewyczerpane nigdy objaśnienia nawiasowe, o wiele zwykle sam tekst przenoszące — ta niesłychana gadatliwość w powtarzaniu do nieskończoności jednych i tych samych upodobanych sobie samemu wykrzykników, często już tylko nawet znaków zapytania, czy nie charakteryzuje osobnika, cierpiącego nieuleczalny nałóg grafomanii?...

Z tem wszystkiem, bądź co bądź, ze wszech miar godna jest podziwu ta chmara wielbicieli — owszem fanatyków nawet owego zagadkowego geniusza! Jednak, już i za dni naszych zdarzały się podobne prądy o nie długiem trwaniu — to może i ten da Bóg przewieje. Meterlink wynoszony był nad Szekspira — Rostanda Cyrano miał u nas odrazu aż trzy przekłady — a oto, o jednym jak o drugim, głucho już wobec koszlawej potęgi Wyspiańskiego. Ale oto, siegając dalej nieco, bo aż w wiek 17, i aż w ojczyznę Dantego, Petrarki, Ariosta i Tasa, czy nie spotykamy tam zapomnianego już od dawna na zabój niejakiego Marino, który, kiedy wjeżdżał do Neapolu, zgotowano mu uroczystość Rzymskiego tryumfatora? Niedługo zaś potem, wytrzeźwiawszy w sposób z rozumem zgodny, wszelkie cudactwo: równie w piśmie jak w mowie, równie w pomyśle, jak w wykonaniu, dla śmiechu, Marynizmem od niego nazwano.

Tak to, prędzej czy później, zdrowa prawda, jak oliwa z przygodnego mętnych prądów wylewu, na wierzch się wreszcie wydobywa".

Wyspiański umiera. Czy jego zgon przejedna zaciekłego antagonistę? Zdawałoby się, że tak, gdyż, wobec powagi śmierci, Felicjana nawiedza refleksja:

„Owe, rzekłbym, bluźniercze moje aż dotąd o wielkości Wyspiańskiego przekonania, po świeżo zaszłym jego zgonie, już mnie samego wreszcie gorszyć poczynają!".

Pogrzeb na Skałce, pismo Sienkiewicza, który był dla Felicjana sui generis autorytetem, nadesłane po śmierci Wyspiańskiego na ręce prezydenta Krakowa, zdają się zachwiewać nieprzejednanem stanowiskiem twórcy „Meandrów".

„Więcże on istotnie, do miary swoich zasług szczęśliwy?" — zadaje sobie pytanie Felicjan, rozmyślając nad wspaniałością krakowskich funeraljów.

I już więcej nie będzie w pamiętniku Felicjana ani słowa o Wyspiańskim.

Tylko jedna, drobna, ale jakże w swej ciętości przepyszna pointe'a.

Wycinek z gazety, opatrzony datą 23 listopada 1908 r. — treści następującej:

„*Ślub pani Wyspiańskiej*. W poniedziałek pobłogosławiony został w kościele parafjalnym w Raciborowicach związek małżeński p. Teodory Wyspiańskiej, wdowy po ś. p. Stanisławie Wyspiańskim z p. Wincentym Woską, gospodarzem z Węgrzec".

I udołu, na doklejonej karteczce, dopisek ręką Felicjana, z jego podkreśleniami:

Niech nikt nad grobem mym nie płacze,
Prócz jednej mojej *żony*
Za nic mi wasze łzy *sobacze*,
I smutek wasz zmyślony. Wesele czy Wyzwolenie.

A więc, mimo wszystko — nie darował.

Zygmunt Łotocki

ROBOT

Idzie Robot,
z niklową brodą,
gardłem rury dyszący parobek,
radjo-obłok,
muzyki chrobot,
jasnym wanadem świecący
Robot!

Na wąsik złoty
nie patrzą już panie,
żony Robotom
mkną na spotkanie.
W oczach
niewinnych,
skromnych połowic —
drży
chromo-nikiel,
blask jego głowy.

Nikt już nie marzy
o warg malinie,
wszystkich porywa
stalowy kark,
i chromo-nikiel,
i aluminjum,
i kauczuk
bezchytrych warg.

Już Wiertinskij
przez patefon jęczy
w membranie
i głos mdlejący śle,
i w „His Masters Voice"
zaszumiał dźwięcznie
Maurice Chevalier
i Raquel Meller.

— W antenowym
membranowym
szumie-poszumie,
katodą i anodą
migocąc,
żelaźni
ludzie
biegną tłumnie,
serca w nich łomocą...

Elektrola
grzmi —
jakże cudowny jest
Robot,
pancerz karku
lśni,
stalowy
płaszcz:
„Rąk
magnesowych ruch
igra
z wolframem kobalt,
foto-fono

druh,
o, Robot
nasz!".

Córeczki pastorów,
haftując szale,
gdy we wsi zmilknie
głos nocnych stróży,
o mężach nie marzą
już wcale —
tylko Robota chcą sobie
wywróżyć.

Gazety malują
kąty i nity,
złotem mezzotinto
całą kolumnę,
i płuca szklane,
i krtań z ebonitu,
ócz aplanaty
i światło ust dumnych.

Szum ziemię
omotał,
płacz w szumie
stukota,
(rzuć myśl
o kłopotach!).

Wszyscy lgną
do Robota,
świat klinem
w Robota,
świat żyje Robotem!

1

Cały w promieniach,
kanciaste
bary,
ciągnie Robot
przez słomkę
smary.

Syt smarów, odrzucił głowę,
sepją brocząc,
w palcach
łożyska kulkowe
toczą się.

I okno
w twarz, na której spokój
od zarania życia,
rzuciło
tysiącem okien
odbicia.

I świeci świat miedziany, mózg
lamp katodowych, stuk-stuk
wycieka z ust,
z wentylów chłodnych.

Bierze gazetę Robot
z bezgłośnym trzaskiem iskr,
litera
wchodzi jak obrok
w ryj,
stąd w foto-dysk,
w szpulkę,
i w ryj odnowa,
drut tli się w przewodzie,

światło
przechodzi
w słowa,
i głos w Robocie się rodzi:

Lon
don
lord
Gor
don
Ows
beel
wniósł
bill
o uuuu...
o uchwaleniu budżetu...

Huczą żelazne mankiety,
i Robot
śród złych „uu!" wodospadów
skrzypiąc
wiersze układa.

Jak w rachunkowej maszynie
w Robocie spinaczami ostremi
osadzone na sprężynie
zbiorowe rymy.

Słaby prąd
uderzy w słowo
„dzień" —
i wyskakuje
rym
„cień",
elektrony
trącą słowo
„śpiew" —
i wyskakuje rym
„drzew".

A pozostałe słowa
płyną
przez nitki stalowe.
I na papierze
wierszy linijka —
automatyczna
liryka:

„Ponury dzisiaj
dzień,
koników polnych
śpiew,
i skał wysokich
cień,
jak szum cmentarnych
drzew".

Robot
ma dosyć już ksiąg,
deszczułkę z forniru
chwyta
i wielopierściennym niklem
rycerskich rąk
rżnie drzeworyty.

I nagle
zachce się usnąć —
w odbiornik
mgła wpływa jak w usta
i prąd
o napięciu wysokiem
i sen
o czystości wysokiej.

I w ucho
czarnego telefonu
i w telewizyjne
źrenice

wpływa
niebo Kalifornji,
śnieg,
Charlie Chaplin,
rycerz —
kino-kronika,
kogut Pathé,
i w mroku śpiewa flet.

Skrzypi
i chrzęści,
przez eter
unosi go pęd —
w sześciu
częściach
pełnowymiarowy
sen.

I we śnie
śmieje się Robot
mechaniczny,
podnosi pierś —
kowalski miech (aniczny),
i z sennych warg
spływa brodą
śmiech (aniczny).

Robot śpi,
już wiersze, księgi znikły,
Robot śpi
niewinnym snem szczenięcia.
Tylko okien
odbicia
na nikło
wanej szczęce.

I ciepło katod ledwie drga,
światło w mózgu błysło na chwilę...

I nogi
zadarte
jak dwa
ciężarowe automobile.

2

Pajęczyna ze stali —
radjo-wieża.
Gramofony. Płyty.
Nadali.
Transmisja świeża.

Śle Robotowi
nakazów krocie
mądry monsieur
w granatowym szewiocie.

Szkatułka
z laku-mrozu,
dźwięk
i światło roni —
fosforyzuje
nić z bronzu
w czternaście
mikronów.

To grzmiąc,
to cichnąc znów —
napływa w aparat
ochrypły huk
norweskich wód

i szklany szum
Sahary.

To iskrą
przewód trąc,
to mrokiem
zalewając —
przyjmuje
fale
z wszystkich stron,
z Hamburga
i z Hawai,
to S. O. S.
z głębiny morskiej...
I słysząc planetarny
łopot,
jedynej fali —
fali Moskwy —
przyjąć
nie może Robot.

Gwizd słowika
w piersi swe weź,
i trel,
i dźwięczny krzyk,
I Robot zlewa
synchroniczną pieśń
na kilometrów trzy.

Monsieur włącza
syty śmiech,
i w mordę
chór się pcha,
automat
zalewem ech
śmieje się:
— Ha-ha-ha.

Monsieur naciska
guzik „smęt"
(grzmi pogrzebowy krok) —
i słychać
rąk żałosny skręt
i ciche, smutne:
— Och...
Płyta się zwolna
potoczy —
i Robot wygłasza
odczyt:

„Choroby metalów,
rozkład molekuł,
idzie epidemja
wewnętrznych muszel,
w szpitalach
leżą
maszyny-kaleki,
opuchłe części
gną się i kruszą,
maszyn nie szczędzi
syfilis metalów —
na Niagarze
turbiny się rozsypały"..
Odczyt skończony.
Po paru
chwilach
Monsieur
włącza słabą,
z lżejszego preparatu,
drobną falę
Jugosławji.

I Robot idzie,
dłońmi dzwoni
jak pękiem kluczy —
nuci wpół:

„Ulicę
kurz gęsty przesło-onił,
huza-arów
wąsatych
szedł pułk.
Naprzód, marsz!
I płonie twarz
cza-arnych hu"...

Śpiew na półsłowie
urwał się, pękł,
wargi gumowe
w bezruchu się ważą,
potwornym
encefalitem
porażon,
Robot
fal czeka
w rozwarciu
szczęk.

3

O siódmej rano,
punktualnie,
wyciągając
szeroko
ramion
skomplikowany system,
kiedy ścianki kaset
purpurową
rozbłysną krasą —
budzi się,
wstawa
Robot
z chrzęstem w kolankowatych
stawach.

Podnosi
świecący
skafandrem czerep,
na karku falistym wzrok —
to
marka firmy,
fabryczny herb
z heraldyki Schneider-Creusot.

I
z fali
katedry złotej
rozlewem fal oddalonych
czystym dźwiękiem w ucho
Robota
wpadają
dzwony
Kolonji.

Wstawszy,
przeciera
kredą i zamszem
elektryczny czajnik lica,
kurzochłon
wziąwszy rękawicą,
wymiata śmieci i wiersze,
i
na służbę śpieszy,
gdzie pod szklanym dachem
świeci
koncernu
gmach...

Słyszy gmach
kroków miarowych klap,
łeb Robota
odbija
Potsdamski plac.

Metalowy, wyniosły,
konstrukcyjnie prosty,
nierdzewiejący Robot,
rtęciową mordą
śmiejąc się,
zęby wyszczerza ostre
do niewolniczych
Lincolnów i Fordów.

Dogóry nogami
przechodzień na zbroi
błysnął,
i reklamami —
oknami stoma —
jasnym pokojem śmiechu
na niklowym pysku
wykrzywiają się domy.

W halach fabrycznych
dławiąc sprężyny,
w ruch wprawiają
krzepkie maszyny.

Szczerbate
kolosy,
prychając
tłokami,
wzdłuż ściany
stały
bez szmeru,
bez głosu —
całe ze stali,
zęby-kindżały,
ręce jak młoty,
chłopaki-Roboty.

Jeden
ma plecy
podobne do czołgu,
na twarzy ostrze sterczy zakładką,
sztabę żelazną
hakami przyciąga
i dziobem
przegryza ją
gładko.

Drugi
wstawia
szpunty z żelaza,
jak zamek zwisa
paszczęki nikiel,
a trzeci
zlizuje
nity odrazu
językiem-pilnikiem.

A Robot-luksus,
jako policjant,
bałusząc Zeissy
stał na ulicy.

(I nie spojrzawszy
na dymu obłok,
żywy
bezrobotny
przechodzi obok).

Zalata
stamtąd

mdłym iperytem,
błękitno-szklany
cylinder zdjęto,
troskliwie
w balonie
ukryta
nitrogliceryna
mętna...

A im —
nie ludzie —
nie szkodzi to wcale,
welonem drży gaz
na twarzy
pobiale.

A w kwietniu
błękitnym,
pod wieczór,
Robota
smukła
panna odwiedza.

Berecik —
nabakier,
woalka
krótka,
i nóżki
takie
drobne,
malutkie.

Na palcach
do jego
podnosi się lica
i rączką-niteczką
zrzuca
przyłbicę.

I szumy
w antenie
grać
zaczynają
skrzypcowym
odcieniem,
ciepłym
jak w maju.

Panienkę
przycisnął
do piersi
grubej,
i
pianissimo
iskrzy się
rumbą.

W rytm idą
nogi,
stalowe
skrzynki,
palce jej
drogie
leżą
na cynku.

— Pójdź w tan,
śród błyszczących
lustrami ścian,
pójdź w tan —
Luba
rytmiczna czeka
rumba,
zatańczymy w takt.
Robot,
z nim tańczy lekka
panna,
wysmukły kwiat...

Cichem radjo
gwarząc,
szkła świeci krąg,
i na cynku
oparze
ciepło jej rąk...

4

Sala przyjęć w kartelu
stalowym.
Na gładkiej podłodze
rakieta promienia.
Sam Schneider
mrukliwy
przechodzi,
świeżych Robotów
będzie oceniał.

Sprężył się mózg
mikrofaradów,
mechanik gotów,
zaczyna się
przegląd-parada,
przyjęcie
nowych Robotów.

Skrząc orderami,
w szpalerze jak maski —
przedstawiciele
upadłej dynastji.

Hełmu
szpic —
generał
of Bitz,
generalny sztab —
porucznik
von Papf,
z wstęgą
na piersi hardej —
marszałek polny,
hrabia
de Bombardi.

I trzęsąc twarzą —
wykresy zmarszczek
(min i pocisków
plany) —
sam Schneider
przyjmuje rewję maszyn,
staruszek,
Schneider szczwany.

A obok mundurów —
bielsza nad śnieżne płatki,
pachnąca Guerlainem,
wyniosła i dumna,
lady Chatterley
przeszła ukradkiem
i zastygła
u zimnej kolumny.

Z leśniczym
dawno już się rozstali,
jej
Robot
potrzebny
pierwotnych er —
jak orangutang
z nieugiętej stali,

o sile
E podzielonej przez *R*.

A wynalazca
nadół
patrzy.
W ogromnej ciszy-śnie
czekają damy
w jasnych płaszczach
z szadzi firmy Chanel.

Odwróciły się głowy.
Lornetki u rzęs.
Słychać —
to brył
ołowiu
po schodach
grzmi
chrzęst.
Wzdłuż szeregów rozległ się
chrobot,
drobnym
werblem
zadrgało
wkrąg.
Krok — za krokiem — za Robotem — Robot —
posadzka
gołoledź,
romb
w romb.

Cześć oddawszy
orłom u bram,
idą sługi
strasznych przeznaczeń,
a cienie dam
kaskadą plam
na gładkiej
posadzce się znaczą.

— — W rycerskim — — szyku — — czterdzieści — sporych — —
— — Podagrą — — pierścieni — — skręconych — — — łap — —
— — Pręży się — korpus — — na zwartych — — — resorach — —
— — Blask — — tyratronów — — kwarcowych — — lamp. — —

— — Na każdym — — Robocie — — lśni napis — — „Próba" — —
— — Łbów — — cylindrycznych — — — blask — — i błysk — —
— — Robot — — w Robota — — — pancerze — — — grube — —
— — Radjoskopami — — — patrzą — — — — — — wzwyż — —

Sto-ój:
(ciężką trzasnęli stopą).
A biała lady
marzy kobieco:
— „Kiedyż,
Robocie,
zobaczę się z tobą,
by dotknąć żelaza
i drgnąć,
i lec, i
twarzą wyczuć
ferrostopowe plecy?

Zechcę,

nakręcę,
i czuły,
rzewny,
fujarkę
w ręce
weźmie
i śpiewnie
się skłoni
anteną,

on — cudny,
on tenorr"...

Nie z jednego chleb jadła pieca,
lecz żyć z żywymi przejadło się
prędko,
i łapę
najlepszej obróbki na świecie
czułą musnęła ręką.

— — Każdy — — — Robot — — sprawdzony — — na serjo — —
— — Pierś — — w kształcie X — — szeroka — — ogromna — —

Znacząc
w notesie
numer i serję,

Schneider
szeregi czterdziestu
ogląda.

— — Brzuchy — — migocą — — — kiszkami — — — rurek — —
— — Sprężynki — — — kółeczka — — — śrubki — — stuk — —
— — Na pra — — wo — az — dwa — stuknęło — — — ponuro — —
— — Jasnolustrzanych — — — — czterdzieści — — — sztuk — —

— Ogólny
wdech, wydech! —
Według rozkazu
boga Robotów —
i jakby szloch,
płuc gumowych
czterdzieści
odrazu
w ryje westchnęło:
„Hoch! Hoch!".

i w męce
zazdrości
brutalnie chwyci za gardło".

A potem,
nad ranem, pachnący rosą,
sentymentalny Robot
grzmi w reproduktor
tenora głosem:
„Twój
do grobu"...

A lady marzy:
„Zechcę — nakręcę,
a Robot okrutny,
taki uparty,
powali mnie
na kanapę,

A Schneider
ręką zagiąwszy ucho:
— Ten jakoś westchnął
nieco za głucho! —
rzekł i zamarł,
po skórze dreszczyk,

jak gdyby pająk
wyrwał go ze snu.
Stoi
ponuro
inny niż reszta
Robot
numer czterdziesty.
Pulsuje żyłą,
dziwnie się kręci.
Czegoś tu braknie
w niskiem napięciu.
Zgarbił się Robot,
rzekłby coś chętnie,
strzałka na „stop",
i próżno chce ożyć,
lecz koło ust
zmarszczek zakręty:
(może — niedbalstwo,
i smutek — może...)
Lampa prześwieca
Robota
nawylot,
Schneiderowi się widzi —
on ludzkim wzrokiem
patrzy z pogardą:
„Mnie oczy nie mylą"...
i stalą pulsują
skronie szerokie.

Solenoid ucha
z głowy
zielonem zwisa
przęsłem,
i lico jego
stalowe
straszną chudzizną
wklęsło.

W glazurę gumy
lśniącej,
wokół wielkich
ust,
jakby
dobroć kojąca,
błękit
żyłki wrósł.

Schneiderowi straszno:
— Wyrzucić,
nicpotem! —
Idzie pod strażą
ku innym
Robotom...

Przekręcili tumbler
gładko —
(według rozkazu...)
Wyjęli akumulator,
światło
pogasło.

Ni ciepła,
ni obrotów,
nic
ciekawego:
ot, wynoszą
Robota
wybrakowanego.

Nie będzie już
wierszy,
pieśni
w czas nudy, —
i w gwiazd migotliwych
powodzi,
pełnostalowe,
lustrzane cudo
Bissing odwozi.

5

Sala grzmi od tupotu:
każdy krok —
salwa!
Trzydziestu dziewięciu Robotów
opuszcza
salę.

Kobaltu i stali stopem
kleszcze
wiszą.
Trzydziestu dziewięciu Robotów
na robotę
wyszło.

By parlament zmienić w popiół,
Reichstag
spal.
Głos Hitlera utkwił w stropie
Sport-Palastu
sal.

Błyszczą fono-łuki
niklu
w fajerwerkach,
idą, idą sługi
Hugo
Hugenberga.

I polata morzem sinem
dym
i żar,
w sinej nafcie tli bezsilny
Filli —
pár.

Czarną swastykę wysunął
wraży
hełm,
złym łańcuchem tanki suną
na
Że-Ché.

Połyskuje tłuszczem potu
mordy
stal,
patrząc lufą kulomiotu,
Robot
wstał.

6

Na błocie,
pogięty,
już do niczego,
rozebrany,
trup,
zżarty chorobą,
wybrakowany
za coś człowieczego,
wyrzucony na szmelc
leży
Robot.
Robot martwy.
Pleśnieje stal i nikiel.
Niepotrzebny Robot
w brudnym ścieku
pod kupą żelastwa

śpi na śmietniku,
zżera go tlenek,
i wodą ocieka.

Któż wiedzieć mógł!...
Kruki,
kracząc,
nad nim przelatały,
i dalej —
brak żeru ich zatrwożył.
A drobne,
błyszczące detale
rozkradli
młodzi radjoamatorzy.

Miedź zielenieje
i plami się
jak
mech jesienny
pod upadłą brzozą.
I piękny pancerz
zżera rak,
metalów rak —
ziarnista rdza.

Odłamki lamp porozrzucane —
ręce
wszerz rozpostarte,
nic nie czujące...

Śpij,
śpij,
Robocie,
pokryty jak wieńcem
skrawkami blachy
od puszki
konserw!

7

Zapach prochu
w powietrzu nad nami.
Przy kulomiotach
po dwóch — każdy trwa.
Front pomarszczony rowami.
Wzgórze 102.

W mroku
kontury Republiki toną.
Gwiazdy nad głową.
Młodziutki komendant plutonu
patrzy
przez lornetę polową.

I w dwa
sześciokrotne koliska
naukos
pagórek się wcisnął.
Spocząłku mglisty i blady,
ostrzej,
i wypełznął w krąg
rak
z ochronnej blachy,
wyciągnąwszy
łopaty rąk.

Mrok. Jeszcze wyżej...
I zza pagórka
wyszedł,
mrużąc soczewek szpary,
czarną kiwając brodą,
w mrok się nurzając szary,

światłoochronny
Robot.

— Powsta-a-ań!...
— Kulomioty!...
(a wy tymczasem
telefonujcie do sztabu:
pod lasem,
nad rzeczką Susłoń oddziały
opancerzone, strasznego
wzrostu,
czekamy rozkazu...).

Zza wzgórza
śmiało
podnoszą się
w ilości do stu,
w nitowanych
pancerzach,
krocząc w szyku,
krok
żelazny
wdeptując w trawę,
kręcąc nosami
celowników,
w twarz nam
gazem dysząc słodkawym...

Przejść
do napaści?
Czekać?
— Cel — jedenaście!
Zza wzgórza
ogromni, garbaci,
wychodzą,
na plecach balony z gazem.
Gruchnęło gradem...
— Psiamaćich!

Kule nie biorą żelaza...
Prężąc
resory,
kulami nietknięte roty,
jak słonie
przez las kolczastych drutów,
idą,
jakby w śnie hipnotycznym,
Roboty,
ciężkie
łapy
kierując
na pluton.

— Armaty... ognia! —
Drgnął pluton.
„Padnij" — szept po linji.
Ale i pocisk
odskoczył od nich,
od aluminjum iskrzących się
pleców.

Idą,
gazowy przesącza się zapach,
idą
na gąsienicowych łańcuchach,
jak parowozy na tylnych łapach,
grozą
przejmują głuchą.

Śluzem niebieskim lewisyt
błyska.
Pół pola
oddechem spalili.
Maskę ściskając szepcze
telefonista:
— Telefonogram...
Za chwilę...

Wytrwać...
Wyszły... (zaharczał)

Z Bobryk
wyleciały,
ukrywszy w stali
serca motorów,
jakby z jednego kawału odlane,
czapierząc szpony
chwytem ramion,
nasze aeroplany.

Biada!
Robot ma głośnik na pysku,
słowami kulomiotów
ryczący wkrąg...
Łuna na trupy
kładzie się nisko,
na skurcze łapiących powietrze
rąk.
W chmurach zaszyte
samolotów cienie,
gwiazda pod skrzydłem —
komsomolski rumieniec.

Samolot
ukazał się,
mirjadami os dzwoniąc,
szpony wyciągnął,
lotem
zniżając się
prędkim,
porwał jednego,
chwycił go w locie
i poniósł
w łapach żelaznych —
Robota
w błękit.

Noc.
Chowa się ptak pod gałęzie.
A Robot huczy
w żelaznej łapie,
jak nietoperz
drżący w uwięzi,
w bieli
olśniewających rakiet.

Samolot wpił się szponami
w stalowe płaty,
jak damę chwyta
ręka szachisty...
I nowe
idą
w noc
automaty,
zionąc z oczu snopem ognistym.

Chrzęszczą pod nimi
Roboty ranione —
i niosą w balonach
iperytu chmury,
kołysząc tysiącowoltowe
ramiona,
i ciężkie
nogi
podnosząc
dogóry.

8

Zatrzymało się metro.
Nadziemka zawisła.
Stanęły autobusy.
Pusto.

Miasto zastygło półmartwe.
I tylko z dymu warkoczem
samolot nad miastem
pędzi w otchłanie jasne,
i na dworcu
kulomiot terkocze.

Już nad frontonem
Smithsa i Werndta
oszklonym
plakat ogłasza:
„Rząd obalony.
Komitet Wykonawczy".

Na placu Pokoju
cztery tramwaje leżą.

Obok wystawy z odzieżą
prowadzą aresztowanych
policjantów.

Noc nadeszła.

Na gwiazdy
rzucają się reflektory,
i śmiecąc łuskami wystrzelonemi
już!
radjostację biorą
ślusarze uzbrojeni.

Już Rewkom
dobija wojnę,
i lufy stalą
już
grożą radjotelegrafiście:
— Spokojnie,
przestawić falę.

Monsieur czuje mauzer u lica.
— Prędzej, prędzej!
Pod napisem „Robot"
rozdzielcza tablica,
i słychać cichy motoru chrobot.

Towarzysz
dotknął tablicy w zapale —
monsieur wstrząsnął się pod
zimną stalą.

— Nie zwlekać! —
I dźwignię
opuścił nadół,
kierującą robotami przez radjo.

I Robot na froncie
kiedy rów mijał,
zachwiał nagle
pneumatyczną szyją.

Szerokie palce
z niklu
skręciły się...
i znikły.
Jakby krew
podeszła
pod węgiel jasny —
reflektory
pogasły.
Coś burczy
w stalowem łonie,
jakby zmożny chorobą
nawznak się kłoni
Robot.

Zamilkł głośnik pysków zajadły,
i bezsilnym zwrotem

na twarze trupów
upadły
Roboty.

Zmętniały soczewki oczu,
szczęki się skrzywiły,
nisko ostatni się toczy
wydech
gazu
bez siły.

Stygną ich radjatory.
I stygną
śruby — podbródki i jamy.
A my już stoimy
na ich plecach chorych,
bandaże rozwijamy.

Świt legł
fioletowym cieniem
na Robotów,
na kurczowy, ostatni gest,
i ptak siadł mu na antenę,
i suseł w ucho wpełzł.

Samolot płynął
z gwiazdą na gondoli,
przeganiając promienie
nimbem śmigieł
setkami
z nieba
kiwających
dłoni,
ulotki
ku nam
zlatywały
migiem.

Ostrożnie, ostrożnie,
z chorągwią,
z pieśnią radości,
do miasta niesiemy
na noszach podwójnych —
ogromnych
i rannych
bez przytomności,
inwalidów stalowych wojny.

Szeregi araukaryj,
i sieci olch i lip
przed Instytutem Lenina.

Oczęta dzieci czarne,
i radość w nich się tli,
ta radość, co przemieni nas.

I osypały Moskwę
fiołki wzdłuż i wszerz,
szalenie je lubimy.

Na skwerach powyrosły
już krzaki bzu i róż,
zrywajcie je, prosimy.

Nad klombów i krzewów
zdrowiem,
krocząc piasczystą drogą,
czuwa
z konewką w głowie
ogrodnik Robot.

On umie wiele,
błyszczący,
długi,
lecą
na zieleń

srebrzyste
strugi.

Podchodzą dzieciaki —
Robot —
dobry —
pozwala im dotknąć
i ręki
i biodra.

Wiele dziś
po Moskwie nowej
chodzi sług
metalowych.

Oto —
miotłę
w rękach trzyma
i z gładkiego trotuaru
chłonie kurz
wysoki stróż,
z niklu
bary.

W żelaznej głowie
duży kłopot —
wymieć
i sprzątnij,
na głowie znak:
„MOSFABROBOT
405-ty".

Pachną piekarnie,
maszyny ryczą,
i Robot inny —
szklany milicjant —
kieruje
ruchem ulicznym,

i dłoń jego
lśni nad ulicą.
— Na prospekt Majakowskiego,
którędy?—
Robot
nie bardzo się trapi.
Mapa Moskwy
na szklanych rękach,
i pędem
strzałka biegnie
po mapie.
A oto stołówka.
Kto z chęcią nie zje
po napisaniu
trudnych poezyj?

Stoją stoły
lustrzane.
I błyszcząc
twarzą czystą,
kelner
emaljowany
podaje pieczyste.

On ci nie powie:
— Panie radco.
padam do nóg,
może jesiotra?... —
Milczący Robot
kołysze tacą,
zastawioną
fantastyką
potraw.

I w łaźni marmurach,
ciepłem owiany,
Robot mydlaną
ocieka pianą.

Paznokcie
Robota
jak ostrza
„Rotbarta".

Podejdźcie bliżej —
Robot bystro
wyciągnie paznokcie
i ładnie
wymyje,
ogoli was czysto
i nigdy
nikogo
nie zatnie.

W szkodliwych
fabrykach farb
stoją
do sucha wytarte
Roboty
w jasnych kaskach
bez
jakichkolwek
masek.

Ni czad,
ni gaz,
ni pył źrący oczy,
nie mnożą już
grobów.
Żelazną nogą
do szybu wkroczył
górnik
Robot.

W westybulu teatru,
u błękitnej portjery,
czeka już metalowy
odźwierny.

Z jasnej miedzi postacie
stoją grzecznie,
im nikt na piwo
nie płaci —
bo praca człowieka,
zbyt cenna rzecz to
dla miotły
lub zdjęcia płaszczy.

I twoje palto,
i moją czapkę,
gdy z tobą wchodzimy
bok o bok,
zdejmuje i wiesza
na łapkę
niklowany garderobot.

A nocą,
chyląc się
nad kołyską —
niańka,
w czepku co świeci —
Robot
czuły połyska
i bajki
mamrocze dzieciom:
„Żył w dalekim
grodzie,
Figle płatał
codzień,
Brodaty
czarodziej, —
Czarodaty
brodziej".

Pełen zabawek
nad dzieckiem się słania,

a jeśli dzieciak
marudzi,
wkłada mu palec gumowy
do ssania,
mlekiem płynący
do buzi.

Na rogach ulic —
ludzi
bezliku.
Siedzi ze szczotkami
Robot —
czyściciel bucików.

— Oczyść
bratku,
tylko
gładko! —

I czyści Robot,
wyciera pluszem,
nie myśli,
jaki zarobek,
i nawet
przez radjo
coś mruczy:

„Jechał
na jarmarek
Robot"...

Jeśli Robot wam otworzy
drzwi na salę,
to was wszak nie upokorzy
wcale.

Poczujesz zapach żywicy,
i wytrzesz nogi —
oto właśnie
robocica
myje
podłogi.

Miotłą, ściereczką
pracuje przy nas,
myje,
zamiata
i warzy —
żywa i dobra
nasza maszyna,
stalowy,
człowieczy towarzysz!

Siergiej Kirsanow
przełożył
St. R. Stande

TREŚĆ TOMU X (ZESZYTY 66 — 77) „SKAMANDRA"

MIESIĘCZNIKA POETYCKIEGO (styczeń — grudzień 1936)

zeszyt 66: str. 1 — 64; zeszyt 67: str. 65 — 128; zeszyt 68-69: str. 129 — 192; zeszyt 70: str. 193 — 256; zeszyt 71-73: str. 257 — 320; zeszyt 74: str. 321 — 384; zeszyt 75: str. 385 — 448; zeszyt 76: str. 449 — 572; zeszyt 77: str. 513 — 576.

ESSAYE, KRYTYKA

IZYDOR BERMAN. Proza Franza Kafki (179—187).
KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI. W poszukiwaniu x-a współczesności (360—377).
WACŁAW BOROWY. Magnat polski i okultysta angielski. Olbracht Łaski i John Dee (408—412).
JOACHIM VON HELMERSEN, przełożył KAZIMIERZ BAZAR. Liryk i proza. Rozmowa imaginacyjna (262—266).
STANISŁAW HELSZTYŃSKI. Przybyszewski a Wielkopolska (476—484).
MARJA JARCZYŃSKA. Poeta świadomości (104—105).
JULJUSZ KROŃSKI. Pornograficzny utwór literacki (495—499).
IRENA KRZYWICKA. Przegląd teatralny (62—64, 127—128, 191—192, 254—256, 319—320, 447—448, 511—512).
ZYGMUNT ŁOTOCKI. Antagonista Wyspiańskiego (545—553).
RENATO POGGIOLI. O estetyce Crocego (262—266).
STANISŁAW ROGOŻ. Książki (121—126, 316—318).
FR. R. SIEDLECKI. Wielka literatura dla małych (8 — 19). „Likwiduję Peipera". Z zagadnień formy wierszowej (218—235). Głos spod pręgierza (381—384). Przekłady z rosyjskiego (503—510).
WITOLD TURNO. W co Conrad wierzył? (488—493).
JEREMI WASIUTYŃSKI. Początki mitu (454—460).
JÓZEF WITTLIN. R. M. Rilke i jego „Księga godzin" (154—159).

POWIEŚĆ, NOWELA, PROZA POETYCKA

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ. Nauczyciel. Opowiadanie (196—213, 290—309).
JOHANNES v. JENSEN, przełożył JAROSŁAW IWASZKIEWICZ. Noc październikowa (464—467).
IRENA KRZYWICKA. Bezbronna ofiara (70—84).
ANDRE MALRAUX, przełożył WACŁAW ROGOWICZ. Czasy pogardy (42—57).
CZESŁAW MIŁOSZ. Bieg (445).
MARCEL PROUST, przełożył TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY). W Combray (391—401).
BRUNO SCHULZ. Wiosna (326—346, 420—442).
EWA SZELBURG-ZAREMBINA. Ludzie z wosku (22—32, 110—118, 163—173).
ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA. Odcięta ręka (132—145, 238—247).

POEZJA

WOJCIECH BĄK. Helena (36—37). Kołysanka (195). Sofokles dolin (542). Kłamstwo wieczoru (543).
ST. R. DOBROWOLSKI. Pieśń o Janosiku (472). Noc na zamku w Czorsztynie (473).
ZUZANNA GINCZANKA. O centaurach (21). Treść (119—120). Rozprawa (468—469).
STEFAN GOŁĘBIOWSKI. Odjazd (286). Odjazd (287). Wizyta (288). Przy pustym cebrze (289).
ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA. Cyrk (314).
LEW GOMOLICKIJ, przełożył JULJAN TUWIM. * * * (446).

EDWIN HERBERT. Pokusa (152).
PAWEŁ HERTZ. Burza (88). Elegja przed nocą (89). Znaki (190). Czasy (216—217). Legenda (355—356). Szarfa ciemności (357).
HORACY, przełożył JULJAN TUWIM. Do Mecenasa (323).
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ. Quentin Matsys (38—39). Breughel (40—41). Nekrofilja (348—351).
MARJA JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA). Pauzy (58). Cumulusy (59). Martwa rozgwiazda (96). Podróż okrętem (97). Gościniec (98). Epitafjum zakochanej (99). Kobieta w oknie (236). Briza media (237). Do własnego organizmu (358). Obłąkany śpiew kwiatów (359). Słońce (418—419). Zapach jesienny (474). Obserwacje w pociągu (475).
MIECZYSŁAW JASTRUN. Pogranicze (67). Gobelin (68—69). Rembrandt (416—417). * * * (485). Mitologja (486). Widzenie wiosny (487).
ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI. Lato (3). Gotycki poemat (4—5). Chłopi (6—7). 1936 (347).
ZYGMUNT KARSKI. Księżyc nad Schönbrunnem (20).
ANTONI KASPROWICZ. Słupem płonącym (515).
SIERGIEJ KIRSANOW, przełożył ST. R. STANDE. Robot (554—575).
BOLESŁAW LEŚMIAN. Srebroń (146—147). W chmur odbiciu (148—149). W zakątku cmentarza (282). Po deszczu (283). Modlitwa (284). Brat (285). Zmierzchun (352). Śnigrobek (353—354).
JÓZEF ŁOBODOWSKI. Złota legenda. Inwokacja (267—275). Na śmierć powieszonych Ukraińców (402—407). Do starego towarzysza (461—463). Zwycięski śpiew (538—539).
RYSZARD MATUSZEWSKI. Ptak (90). Imię (91).
CZESŁAW MIŁOSZ. Ptaki (33—35). Roki (214—215). Przebudzenie (315).
JEAN MOREAS. przełożył WINCENTY KORAB-BRZOZOWSKI. Stanca (325).
ANDRZEJ MORSZTYN. Na imię (160). Do Jagi wszytko (161). Milczenie (162).
STEFAN NAPIERSKI. Oczekiwanie (92). Jeszcze epitafjum (93). Podróż o księżycu (94). Złota maska (95). * * * (188). Elegia (536—537).
ANNE DE NOAILLES, przełożyła MARJA JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA). Wstęp do „Poematów dzieciństwa" (174). Zapytanie (175). Dnie, minęłyście... (176). Ce n'est donc rien? (177—178).
MARJAN PIECHAL. Dno (87). Burza (413). Mitologja (451—453). Szekspir (540—541).
LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW. Dno wieczoru (259). Noc na Krakowskiem (260). Starość (261).
ALEKSANDR PUSZKIN, przełożył LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW. Poeta (324).
ALEKSANDR PUSZKIN, przełożył JULJAN TUWIM. Demon (106). Wóz życia (107). * * * (108). * * * (109). Z poematu „Połtawa" (248—249). Scena z „Fausta" (250—253). * * * (500). (Do dekabrystów) (501) * * * (502).
STANISŁAW ROGOWSKI. Sielanka osobista (85). Przemiany (313). Wiersz o groźnej pogodzie (470—471).
ALEKSANDER RYMKIEWICZ. Głosy (378).
ANTONI SŁONIMSKI. Znowu wiosna (150). Gratis pro Deo (151). Pożegnanie minionego stulecia (387—390).
ADOLF SOWIŃSKI. Do protoplasty (86). Dom (153). Śmierć Piasta (310—311). Dzień kary (443).
JÓZEF STACHOWSKI. Las (189).
ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA. Korespondencja (60). Zerwanie (61). Do klonu na grobie ojca (312).
JULJAN TUWIM. Dla dzieci (131).
J. K. WEINTRAUB. Elegja (494). Dwugłos (544). Elegja monumentalna (545).
STANISŁAW WYGODZKI. Żywioły (444).
JERZY ZAGÓRSKI. Zdarzenie (414—415).
EUGENJUSZ ZIELIŃSKI. Ballada o pożądaniu (535).

UTWORY DRAMATYCZNE

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ. Lato w Nohant. Komedja w trzech aktach. Akt pierwszy (516—534).

ILUSTRACJE

ZYGMUNT DUNIN. Rysunki (zeszyt 67).
ROMAN KRAMSZTYK. Portrety (zeszyt 68-69).
FRANS MASEREEL. Obrazy z wielkiego miasta (zeszyt 66).
JÓZEF RAYNEFELD. Rysunki (zeszyt 71-73).
FELIKS TOPOLSKI. Paryż (zeszyt 70).

OKŁADKI

JADWIGA HŁADKÓWNA. Zeszyt 66.
LEVITT-HIM. Zeszyt 67.
EDWARD MANTEUFFEL. Zeszyt 71-73.
MACIEJ NOWICKI I STANISŁAWA SANDECKA. Zeszyt 74.
MARJA OBRĘBSKA. Zeszyt 68-69.
WŁODZIMIERZ PADLEWSKI. Zeszyt 76.
EUGENJA RÓŻAŃSKA. Zeszyt 77.
ANTONI WAJWÓD. Zeszyty 70, 75.